DZIENNIK
PODRÓŻY
LĄDOWYCH i MORSKICH.

N^ER 2.

MIESIĄC LUTY. ROK 1827.

I.

RYS HISTORYCZNY PODRÓŻY

w celu czynienia odkryć przedsiębranych.

Między podróżami umiejętnemi zajmują bez wątpienia piérwsze miéjsce podróże przedsiębrane w celu czynienia nowych odkryć krajów i ludów nieznanych. W prawdzie naprowadzają na nowe odkrycia: przypadek, wojny, handel i missje, ale pewniéjsze są podróże przedsiębrane umyślnie w tym celu. Takie przedsięwzięcia wymagają od podróżnego wytrwałego zdrowia,

i sił fizycznych, obojętności na trudy i niedostatek, zdolności do zarobienia w razie potrzeby na utrzymanie życia, odwagi i przytomności umysłu w śród niebezpieczeństw, zamiłowania przedmiotu podróży, znajomości przeszkód i sposobów, aby ich zniknąć, bezprzesądnego wzroku, zdatnouci w doświadczaniu i w wiernéin udzielaśniu rzeczy widzianych.

Fenicjanie byli piérwsi, co podróżowai dla odkryć w widokach handlowych, lub w celu zakładania osad. To samo czyniły ich osady. Ale wiadomości o tych odkryciach, albo były zbyt niepewne, jak n.p. o fenicyjskiém okrążeniu Afryki, albo wyrażane były w obrazach, jak piérwsza żegluga na cieśninie gibraltarskiéj, albo nakoniec zupełnie zaginęły. O ich odkryciach za obrębem morza śródziemnego, nie wiele wiemy. Oni wynaleźli wyspę *Kerne*, (Arguin) na brzegach zachodnich Afryki, morze czerwone, *Maderę* i wyspy *Cynejskie*; oni sprowadzali bursztyn, ich wyprawy karawanowe do Azji i Afryki nadawały im znajomość krajów, jaką dzisiejsi nie mogą się poszczycić. Osada Tyryjska, potężna Kartago, podejmowała jeszcze odleglejsze podróże w celu odkryć, ale zapomniano o nich, a owoce tych przedsięwzięć zginęły wraz z narodem. Podróże Greków

miały szlachetniéjsze cele niż krew i złoto: usiłowali oni odkrywać dla rozprzestrzenienia krainy umiejętności. Oprócz dawniéjszych podróży Herodota, który w opowiadaniu swojém trzymał się wiernie drogi doświadczenia, i oprócz równoczesnych podróży Kartagińczyków Hanno i Himilko, pozostał jeszcze opis podróży Skilaxa z Karjandy, który żył około czasu wojny peloponezkiéj. W sto lat późniéj około 300 r. przed Erą chrześcjańską, piérwszy Pytheas z Marsylji zaczął czynić postrzeżenia astronomiczne, aby oznaczyć miéjsc położenie zwiększą dokładnością: podejmował na północ 2 podróże, ale z ich opisu pozostały nam tylko ułamki. Pytheas postąpił od północy najdaléj do *Thule* (*Thual* znaczy w języku Jrów *północ*) zapewne do Jrlandji, gdzie go najbardziéj zdziwiły lody, a od strony północno wschodniéj najdaléj do *Dźwiny*, o któréj powiedział, że się nazywa *Tanais*, i że jak kanał łączy morze północne z czarném. Arystoteles rozszérzył naukę o krajach, nie tak przez własne podróże, jak raczéj przez wiadomości o wyprawach Alexandra i przez opisy, jakie podług swojego sposobu widzenia ułożone, przesyłał wielki uczeń swojemu nauczycielowi. W krótce po śmierci Alexandra, korzystał z materjałów od czasów Herodota nagroma-

dzanych, Eratosthenes, ale prace jego znamy tylko z Strabona, który w 300 lat późniéj (w 10 lat po Chr.) zajął się jakby nowém wydaniem w 17 xięgach pism Eratosthenesa. Od czasu wojen Alexandra znajomsza była Azja do rzeki *Jndus* i *Ganges*, a nowe kraje grecko-macedońskie uczyniły ją jeszcze bardziéj znaną. Wojska rzymskie wynagrodziły w owym wieku brak podróży, poświęconych odkryciom, a pisarze korzystali z opowiadań żołnierzy, aby rozszerzyć dawniéjszą krajów znajomość; Azję poznawali Rzymianie naocznie, z Jndji otrzymywali doniesienia handlowe przez Egipt; z Egiptu poznali Afrykę, aż do Nigru, a w Europie poznali półwysep pirenejski, Gallję, południową Brytannję, Niemcy do Elby, Dację i Pannonję. Napady całych ludów w wiekach IV, V i VI, odsłaniają nam ślady granic nieznanych, lub bajecznych. Rzym wschodni (Constantinopolis) wszedł w stosunki z wielu nowemi ludami, a pisarze wschodni zostawili nam o nich różne wiadomości. Obok Bizantczyków, uczynili Arabowie bardzo wiele dla dokładniéjszego poznania ziemi, już to przez swoje wyprawy wojenne, już przez handel, już to na drodze umiejętnych badań. Część Azji północno-wschodniéj, Azję środkową i przodkową, Afrykę północną i Hisz-

panję otworzyli sobie orężem, a ich handlowe podróże, tak morskie jak i lądowe sięgały wysp indyjskich, Chin i środka Afryki; uczynili wszelako mniéj dla umiejętnego postępu jeografji niż dla właściwéj nauki o krajach i ludach. Co w tym względzie zwycięztwa Arabów na wschodzie świata znanego uczyniły, to zdziałały na zachodzie ludy germańskie, gdy wystąpiwszy z lasów, z ludami cywilizowanemi państwa zachodnio-rzymskiego w bliższe weszły zetknięcie. Więcéj jeszcze niż Germanom winna jeografja Normanom; ci bowiem uczynili nowe, jakkolwiek przypadkowe odkrycia. Roku 861 odkryli wyspy *Farejskie* i *Islandję*, r. 982 Grenlandję, gdzie na brzegach zachodnich pozostawili osady, a Normanczyk Biorn, zapędzony przez burzę ku stronie południowo zachodniéj, odkrył we 20 lat późniéj *Winlandję*, tak zwaną od dzikich latorośli winnych, czyli, jak się z opisu pokazuje, zapewne wschodnie brzegi Kanady. Z polecenia Alfreda, Króla Anglosasów, przedsięwzieli r. 901 dwaj Normanowie Other i Wulfstan podróże w celu czynienia odkryć. Pierwszy wypłynął z Norwegji, okrążył przylądek północny, przebył morze białe, zwiedził *Biarmen* (Permję), drugi dostał się do fińskiéj zatoki wypłynąwszy z Szlezwigu. Chrześcjańswo

przyczyniło się wiele do odbywania podróży; podejmowali je pielgrzymi, z powodu krucjat powzięto dokładniéjsze wiadomości o krajach sławiańskich zawojowanych przez Niemców i o Azji, a sami papiéże wysyłali posłów do Sułtanów azjatyckich, późniéj do *Chanów* tatarskich, aby wstrzymać tych hord napady. Missje Bonifacego rozjaśniły Niemcy, (775); S. Otto zwiedził północ sławiańską (1124), Ansgavius (865) Szwecję. Oprócz tych, inni pojedyńczy podróżni rozmaite odbywali podróże: Mandeville wypłynął (1327) z Anglji, Szyldberger, dostawszy się pod *Nikopolis* do niewoli r. 1396 poznał dokładniéj kraj Mogółów i Turcję. Na 100 lat pierwéj, około r. 1270, przebył Wenecjanin Marco Polo, całą Azję aż do Chin, a równocześnie z Szyldbergierem, przedsięwzięli bracia Zeno, Wenecjanie, podróż do krajów północnych. Ale wszystkie te podróże były pojedyncze. Od téj epoki zaczynają się dopiéro prawdziwe w celu czynienia odkryć z zamiaru podéjmowane. W ogólności możnaby ustanowić następujące perjody w historji podobnych podróży: 1) wiek Fenicjan do Herodota (500 lat przed Erą chrz. 2) wieki Greków i wypraw rzymskich do początku wieku V. 3) wieki Germanów i Normanów do początku wie-

ku X. 4) Arabowie i Mogółowie do 1400 r. 5) Kolumbus do naszych czasów. Po wynalezieniu Kompasu, między r. 1250 i 1329 rozszerzyła się żegluga, co podało sposobności do wielkich podróży morskich. Włosi, a szczególnie Wenecjanie i Genueńczykowie piérwsi dali przykład, ale zazdrość handlowa pozbawiła potomność wielu odkryć. Jch zyski pobudziły inne ludy do podobnych podróży. Portugalczykowie mieli już dawniéj stosunki z Afryką przez wojny. Gorliwość do takich przedsięwzięć ożywiał szczególnie infant Don Henriquez, Xiąże Wiseu, z zamku swojego na brzegu Algarbji, chociaż tylko wskazywał drogę którą inni wynajdowali. Potomność nazwała go słusznie *Nawigatorem*. Od r. 1418 do 1450 odkryli Portugalczykowie *Porto Santo*, *Maderę*, wyspy *Azorskie*, rzekę *Senegal*, w krótce potém *Arguin*, znane u starożytnych pod nazwiskiem *Kerne*, r. 1465 *Gwineę*. Bartłomiéj Diaz, okrążył r. 1486 południowy cypel Afryki i nazwał go *przylądkiem burz*, a Król jego Jan II, *przylądkiem dobréj nadziei*. R. 1498, odkrył Vasco de Gama drogę około Afryki do Jndji, gdy tymczasem Genua nie przestawała trzymać się dawnéj drogi handlowéj, zarówno utrudzającéj jak kosztownéj. Lecz Hiszpanja miała tyle do czy-

nienia z Maurami w Grenadzie, iż nigdzie nie usłuchano gienjalnego Colombo, który przywieść chciał do skutku swój zamysł szukania nowéj drogi do Jndji. Nakoniec dopomogła mu Królowa Hiszpańska Jzabella; jakoż wypłynąwszy, spostrzegł on d. 12 Października 1492 ląd stały i mniemał, że odkrył Jndje, ponieważ sobie wystawiano, że brzegi wschodnie Azji ciągną się aż do morza atlantyckiego; lecz była to wyspa lukajska *Guanachani*, teraz nazwana *San Salvador;* tym sposobem odkryto Amerykę. Za trzecią wyprawą r. 1498 wysiadł na ląd stały. Około tegoż czasu Jan Cabot, Wenecjanin, wypłynął z Anglji i odkrył *Newfounland* i *Wirginją;* miotany burzą Cabral, odkrył r. 1500 *Brazylją;* Bastidas odkrył *Terrafirma*, Cortereal *Labrador* i zatokę *hudsońską*, Ponce de Leon *Florydę*, a Balbao przebył *Darją*, i spostrzegł morze południowe. Wszystkie te odkrycia poczyniono w przeciągu lat dwunastu. Teraz dopiéro poznano, że nie Azję, ale Amerykę odkryto i że obiedwie te części ziemi oddziela ogromny ocean, na którym domyślano się innego świata nowego. Uczony Florentyńczyk Amerigo Vespucci udzielił Europie opis krajów nowo odkrytych. Roku 1519 okrążył Magelhaens

przez cieśninę morską od niego nazwaną, południowy cypel Ameryki i odkrył zachodnią drogę do Jndji. Stopniami ukazywała się z pod zasłony środkowa Ameryka. Czynili w niéj najważniéjsze odkrycia od r. 1525 do 1541 Cortez, Pizarro; Almagro, Cartier, i Orclana. O Ameryce północnéj i wschodniéj udzielili dokładniéjszych wiadomości od r. 1559 do 1616: Drake, Forbisher, Hemskerk, Hudson i Baffin. Nie wiedziano dawniéj, czy Azja styka się z Ameryką; dopiéro r. 1648 uczynił to odkrycie Kozak Semen Desznew, puściwszy się od rzeki *Kolym* około przylądka Tukszów przez cieśninę teraz Berynga zwaną, aż do ujścia rzéki Anadyr. To, co już ta podróż dosyć jasno pokazała, zamienił w pewność roku 1726 Kapitan Bering, dostawszy się od rzeki Kamczadalów, przez nazwaną od siebie cieśninę, do *Serdce Kamen* na półwyspie Tszuktszów. Potwierdzili to samo późniéjsi podróżni, a mianowicie Cook po dokonanéj trzeciéj wyprawie. Ci, oraz Vankonver rozpoznawali dokładniéj zachodnie brzegi Ameryki. Wiedziona o niepodległość wojna północno-amerykańska, rozjaśniła jeszcze dokładniéj okolice Ameryki; podobnie byli czynnymi, missionarze w poznawaniu Ameryki południowéj, a mia-

nowicie Jezuita Dobryzhofer w Paraguay; ale najdokładniéjszych wiadomości o Ameryce południowéj udzielił Humboldt i inni podróżni angielscy i niemieccy.—Mniéj odpowiedziały celowi podróże *do środka Afryki, poświęcone nowym odkryciom.* Portugalczykowie rozpoznawali *tylko kraje nabrzeżne*, o tyle, o ile im tych wiadomości było potrzeba do prowadzenia handlu morskiego z Jndjami; znali wszakże brzegi zachodnie Afryki, jeszcze przed Vasco de Gama, a już po nim rozpoznawali brzegi wschodnie. Dopiero w wieku XVI żeglowali po morzu czerwoném, ale Abissynja była im już znana. Egipt zwiedzali pielgrzymi; pomimo tego znano Afrykę tylko częściowo. Wprawdzie już Hollendrzy poznali południowy cypel Afryki, ale północniéjsze jéj części zwiedzili dopiéro i opisali Szwedzi Sparmann i Thunberg, późniéj Levaillant i nakoniec Lichtenstein. Do Abissynji i Nubji podróżował Bruce, a wiadomości jego o źródłach Nilu potwierdził Salt r. 1809. Obszerniéjszy plan do odkrywania krajów w środkowéj Afryce powzięło i dotychczas przywodzi do skutku, zawiązane w r. 1788 w Anglji towarzystwo afrykańskie, które łoży ogromne koszta na wysyłanie usposobionych ludzi w podróże,

z tylu połączone niebezpieczeństwy; wszelako gorliwość ta jeszcze nie odpowiedziała oczekiwaniu. Ledyard, Lukas, Mungo Park, Horneman i inni, oprócz przypadkowych odkryć, oznaczyli tylko wschodni bieg Nigru, jak już Herodot o nim donosił, i rozpoznali okolice aż do Królestwa *Darfur*; ale o *Tombuktu*, *Hussa*, *Wassanach* i krajach Kafrów, mamy jeszcze bardzo niepewne wiadomości. Niewiadomo jeszcze, czy Niger wpada do Congo. Tuckay, który tego dojść chciał, utonął na rzece ostatniéj podróże Burgharda, Bowducha, Molljena, Lainga, Lorda Valentia, Salta i innych, zbogaciły i ciągle zbogacają wiadomości o Afryce. Azję zwiedzali najprzód Portugalczykowie, późniéj Anglicy i Rossjanie. Już roku 1498 odkrył Vasco de Gama brzegi malabarskie, a do r. 1542 odkryli Portugalczykowie niemal wszystkie południowe brzegi z gruppami wysp i Japonję. Wszelako wszystkie te odkrycia rozciągały się tylko do brzegów; dopiero w środpu wieku XVIII założyli Anglicy podstawę do swego panowania w Jndjach, przez co ucywilizowana Europa dokładniéj poznała środkową Azję. Kapitan kozacki Jermak i kupiec Strogonow, odkryli r. 1577 *Syberję*, a r. 1639 zwiedził Kopi-

low w najwschodniéjsze brzegi Azji i odkrył *Kamczatkę*. R. 1745 odkryto wyspy *Kuryle*, *Aleuty* i wyspy *Lisie*. Müller, Lepechin, Falk, Gmelin, Güldenstädt, a nadewszystko Pallas podéjmowali z polecenia rządu rossyjskiego najważniéjsze podróże. Podobnie jak La Peyrouse strony północno-wchodnie oznaczał, tak zwiedzali i rozpoznawali położenie gór kaukazkich i morze kaspijskie Gärber, Reineggs, Klaproth, Parrot, i Engelhardt. Gołownin opisał *Japonję*. *Arabję* opisał Niebuhr, *Persję* Chardin i Morier, *Kabul* Elfinstone; *Syrję* i *Palestynę* zwiedzali pielgrzymi i badacze starożytności. Ale *Indje północne*, *Tybet* i środek większych wysp wschodnio-indyjskich, jeszcze bardzo niedostatecznie są znane.—Na morzu południowém już Portugalczykowie domyślali się nowego świata. R. 1511 przybyli Portugalczykowie do *Nowéj Gwinei*. Wszelako z odkryć tych do r. 1605 mało korzystano; dopiéro r. 1615 odkryli Hollendrzy Le Maire, Shouten, Hertoge i Tasman, *Nową Hollandję*, *Nową Zelandję* i wyspy *przyjacielskie*. Dampierre i Cook udzielili najwięcéj wiadomości o piątéj części świata, tak, iż późniéjszym podróżnym nie wiele w tym względzie do czynienia zostawili.

II.

O STANIE OBECNYM BUENOS-AYRES I CHILI.

Niezaprzeczoną jest prawie rzeczą, iż do krytycznego stanu w jakim się znajdował niedawno, a nawet wczęści znajduje jeszcze handel angielski, nic więcéj nie przyczyniło się, jak nierozmyślne spekulacje na płody górnictwa południowo-amerykańskiego i mexykańskiego. Stosownie do zapewnień jakie były zachętą kapitalistom angielskim do wkładania pieniędzy swoich w te spekulacje, potrzebowały one tylko ludzi, pieniędzy i machin z Anglji, dla osiągnienia znacznéj ilości drogich kruszców, i zachodziło pytanie, czyli w końcu nie będzie można znaleść czego droższego, oprócz obfitych kopalni złota i srebra. Większa część tych niedorzecznych marzeń spełzła na niczém, a inne rozpraszają się dopiero obecnie. Do zdjęcia mamiącéj zasłony z oczu tych, którzy się spekulacji téj poświęcili, przyczyniły się mianowicie wydane przez dwóch podróżnych P. Miers i kapitana T. B. Head dzieła, z których przytoczymy niektóre wyjątki.

Oba ci podróżni mieli pewny oznaczony cel w przedsięwzięciach swoich przed

oczyma, lubo zupełnie odmiennemi środkami do niego zmierzali. P. Miers opuścił Angliją w roku 1818, dla założenia w Chili fabryki, w któréj miedź czyszczona, walcowana i na blachy wyrabiana być miała. Deputowani krajów południowo-amerykańskich i dwaj posłowie z Chili, czynili mu wiele nadziei pomyślnych, i wystawili mu cenę węgli niezmiernie niską, pracę o trzy czwarte części tańszą jak w Anglji, a żądanie blachy miedzianéj nader znaczne, mianowicie zaś w rękodzielniach cukru w Peru; nadto, zapewnili mu nader skuteczną opiekę rządu. Za przybyciem atoli P. Miers do kraju, ani wspomniano o tém wszystkiém, i kapitalista ten, walcząc przez cztery lub pięć lat z przeszkodami wszelkiego rodzaju, widział się zmuszony powrócić do Anglji, nie zebrawszy wielkiego majątku, którego posiadanie sobie obiecywał. (*) Kapitan Head znany Officer inżenierji, otrzymał polecenie od pewnéj kompanji górniczéj mającéj dobywać złoto i srebro w kopalni Rio de la Plata, aby doziérał jéj interessów w tym kraju, i udał się tym celem z dwoma naczelnymi

---

(*) Wiele wiadomości o losie tego Anglika znaleść można w zajmującém dziele P. P. Graham o Chili.

górnikami z *Kornvallis*, francuzkim urzędnikiem menniczym, mierniczym i trzema górnikami, przez wielką płaszczyznę Pampas do kopalni złota w San-Luis, a z tamtąd do kopalni srebrnych w Uspallata, przeszło 1,000 mil (ang.) od Buenos-Ayres, w którém to mieście zostawił dwa oddziały angielskich i niemieckich górników dla użycia ich przy najbliższéj sposobności. Udał się następnie przez Andes do St. Jago w Chili; z tąd w różnych kierunkach podróży około 1200 mil drogi odprawił, dla obejrzenia złotych i srebrnych kopalni w Chili. Powiada sam, iż tym sposobem więcéj jak 6,000 mil ang. na koniu ujechał. Zupełnie w innym sposobie odbywał podróż P. Miers. W towarzystwie należących do familji swojéj kobiét, ujechał zwolna w starym obszernym pojeździe mil 900 od Buenos-Ayres do Mendoza (niedaleko S. Jago) w dniach 20, a tém samém mógł dać więcéj szczegółowe kraju opisanie, aniżeli pocztą jadący Kapitan, który opisanie swego że tak rzec można przelotu, wydał pod tytułem:,, Ulotne spostrzeżenia,, w szybkiéj podróży przez Pampas i Andes czynione.,,

Obadwa autorowie wyjechali do Buenos Ayres które im się nie bardzo zdaje podobać. Pierwszy utwór południowo-amerykańskiéj produkcji, jaki P. Miers wi-

dział, był statek, którym go z towarzyszami przez rzekę przeprawiono. Na statku tym, składającym się z nieociosanych żerdzi, pościąganych rzemieniami, nie było żadnego miéjsca do siedzenia; ciągnęły go dwa konie, a na jednym z nich siedział na sposób indyjski ubrany jeździec. Wylądowawszy podróżny, pomylił się, wziął bowiem za więzienia, domy ludu przemyślnego, z oknami niemającemi szyb i jedynie opatrzonemi w kraty żelazne. Wszelako mieszkanie jego, pośród szanownéj rodziny było wygodne. „Siadaliśmy do obiadu— mówi autor— wszyscy razem, my jako podróżni goście, podług zwyczaju hiszpańskiego, na starszém miéjscu. Usługiwały do stołu trzy czarne niewolnice; przynoszono jedna po drugiéj blisko dwadzieścia potraw: zupę z makaronem, rozmaite mięsiwa smażone i gotowane, pieczoną cielęcinę, sałaty i różne jarzyny w oleju gotowane. Po skończonym obiedzie jedna z niewolnic odmówiła niezrozumiale modlitwę krótką, a gdy się wszyscy przeżegnali, przyniesiono na deser mnóstwo fig, wiśni, tak zwanych nektarynów, jabłek i gruszek. Przy stole i po obiedzie zwyczajem jest pić tylko wodę, a po skończoném jedzeniu przynoszą miednicę, na któréj sobie wszyscy ręce myją.

Z powodu wysokiéj ceny wszystkich ar-

tykułów żywności, trudniéj jest utrzymać się rzemieślnikom, niż w Anglji, pomimo że lepiéj za robotę są płatni. Mieszkania, wynajmowane bez sprzętów, pełne robactwa, są nadzwyczaj drogie. Mięso wołowe sprzedają w takich kawałkach, iż górnicy z Kornwallis często nic nie kupiwszy z jatek wracali, nie mogli się bowiem odważyć do jedzenia mięsa, na drobne części poszarpanego. Kury w Buenos-Ayres żywią się mięsem surowém i z tego powodu nie mają dobrego smaku; kapitan Head widział nieraz, jak wychodziły z brzucha konia zdechłego. Trzodę chlewną żywią również mięsem. Mięso wołowe jest tanie-ale drzewo, pieprz, sól, chléb, woda i in, ne artykuły żywności tak są drogie, iż różnica ceny mięsa surowego, od ceny przyprawionego jest nadzwyczaj uderzająca. Materjały do ubioru, są o 80 od sta droższe, niż w Anglji.

Anglicy puszczali się w południowéj Ameryce na rozmaite spekulacje; niektóre były prawdziwie pocieszne. I tak zamierzyło kilku spekulantów założyć towarzystwo do robienia masła, z jednéj strony widząc że w Zjednoczonych krajach nad rzeką la Plata mnóstwo pięknych krów i łąk się znajduje, z drugiéj wiedząc, że mieszkańcy tamtéjsi masła robić nie umieją. Jakoż w kil-

ka miesięcy, popłynęła do Ameryki wyprawa szkockich mléczarek w celu robienia masła w Buenos-Ayres. Ale wielkie trudności stanęły im na przeszkodzie. Myślały, że znajdą krowy przy dojeniu spokojne, że podobnie jak w Szkocji będą mogły przy swéj pracy opiérać się o nie głowami, ale natomiast zastały krowy dzikie i niespokojne, które im się wydawały tak straszne, iż nietylko ich doić nie mogły, ale nawet zbliżać się do nich nie śmiały. Wszelako Gauchowie, (włościanie z równin Pampas) odważyli się przystąpić do nich, powiązać im nogi rzemieniami i zaledwie je uspokoili. Wszystkie sklepy w Buenos-Ayres napełniły się masłem. Ale po przezwyciężeniu téj trudności, zaszły nowe, oueıu ewicie, iż masło się psuło, i że Gauchowie woleli oliwę krajową, niż masło.

Buenos-Ayryjczykowie nie mają dobréj wody do picia, domy ich są wilgotne, niewygodne, ulice brudne. Zarówno mężczyźni, jak kobiéty są leniwe; trudno zobaczyć ich pieszo: wszystkie odwiedziny odbywają się konno, podobnież przybywają wszyscy na targ; nie ma kowala, cieśli, lub mularza, któryby nie miał konia jednego, na którym do roboty jedzie, drugiego do przejazdzki świątecznéj; nawet żebracy żebrzą konno w Buenos-Ayres. W teatrze siadają mężczyźni od-

dzielnie od kobiét, damy w lożach, męzczyźni na parterze, gdzie niewolnicy, majtkowie, kupcy i wojskowi, jedną nieforemną składają massę. Zaopatrywanie miasta żywnością zależy od Gauchów, którzy równie jak mieszkańcy miast są leniwi i zimni. Oprócz tego brakuje w mieście dobrych urządzeń. Często się zdarza, że najęty woźnica dla dészczu czekać nie chce na odwiezienie tego, który go najął.

Klasztory zniesione zostały w Buenos-Ayres; zabrano srébra z óltarzy, świéce z białego wosku zamieniono na żółte, a bogate niegdyś szaty świętych na angielskie materje bawełniane. Zakonnika rzadko widzieć można na ulicy. Kapitan Head opowiada, że w Buenos-Ayres znaydują się cele, w których przez dni 9 tak męzczyźni, jak kobiéty poszczą i chłostami się okładają. W innych miastach, a mianowicie w Mendoza znajduje się więcéj xięży; ulubioną ich zabawą po trudach poważniéjszych jest walka kogutów.

Sposób, jakim Gauchowie zabijają bydło na placu ogrodzonym, obszernym, zwanym Kowal i mnóstwo furtek mającym, nie jest gdzie indziéj znany. Za każdym razem pokazuje się na tym placu inny widok. Zrana i wieczór nie ma na nim ani jednego ludzkiego stworzenia. Bydło stoi w błocie

po kolana, pod słońcem, bez najmniéjszéj żywności, ryk niekiedy wydając. Wszędzie widać na nim kupy białych ptaków, to dziubiących posokę zgęstniałą, to skrzydłami machających, jak gdyby dla dodania sobie apetytu. Gdzie się ziemia od krwi czerwieni, tam dzisiaj zwiérze ubito. Zrana nie widać krwi na całym placu. Tu i owdzie stoją przy palach gruppy koni z rzemieniami do łapania bydła, przy siodłach umocowanémi; wszystkie tak są spokojne, iż się zdaje, jak gdyby snu używały; matadarowie spoczywają przy furtkach placu, paląc cygara. Nakoniec zégar na Klasztorze franciszkańskim uderza godzinę; mataderowie wskakują na konie, otwiérają wszystkie furtki i w kilka sekund panuje na placu zgiełk i zamięszanie. Każdy jeździec uchwycił jednego byka swoim rzémieniem. Jedne w strachu uciekają od koni, inne rzucają się na nie z wściekłością, tu słychać ryk, tamtym przecięto już u nóg żyły, tak iż tylko kulejąc mogą się poruszać, inne leżą już rozciągnione bez życia, z tamtych ściągają skórę, a tu i owdzie zerwany nie jeden rzemień. Częstokroć koń z jeźdzcem pada na ziemię, a byk puszcza się ku furtce, aby odzyskać wolność, lecz inni pędzą za nim i schwytawszy go na rzemienie, wywracają na ziemię tak silnie, iż padając

zdaje się gruchotać wszystkie kości. „Znajdowałem się sam— mówi Kapitan Head— pośród takiego zgiełku i nie raz w największym cwale unosić musiałem życie, w niepewności, gdzieby się schronić.”

Równina, zwana Pampas, ciągnie się na zachód od Buenos-Ayres, aż do gór Andes, blisko na przestrzeni 1,000 mil angielskich w szérz; przez nią idzie linja pocztowa, gdzie podróżny dostać może świeżych koni, mięsa wołowego i wody słonawéj: Odległość jednéj stacji od drugiéj wynosi od 20 do 50 mil angielskich. Wielu podróżnych zwiedzało już te okolice, ale jeszcze żaden nie opisał ich dokładnie. Kapitan Head opisuje wkrótkości tę równinę: „Wielka równina Pampas, na wschód od Kordylerów ma prawie 900 mil ang. szerokości, a okolica, którą zwiedzałem, jakkolwiek położona pod jednym stopniem szérokości, ma klimat rozmaity i wydaje niejednakowe płody. Z Buenos-Ayres, wjeżdza się najprzód w obwód, ciągnący się na 180 mil ang. zarosły koniczyną i ostem; dalszy obwód rozciągający się na 150 mil ang. wydaje długą trawę, a trzeci sięgający Kordylerów zarosły jest drzewami małemi i krzakami. Te drzewa, krzaki i długie trawy wydają się przez cały rok jednakowo, zawsze zielono; ale koniczyna i osty przybierają inną po-

stać w każdéj porze roku. W zimie liście ostu są wielkie i wybujałe, a koniczyny grube i mocne; widok bydła, pasącego się na tych samorodnych łąkach w zupełnéj swobodzie, jest nadzwyczaj żywy. Na wiosnę znika koniczyna, liście ostu zniżają się ku ziemi, zawsze jednak cała przestrzeń zdaje się być jeszcze polem uprawném. Lecz nieupływa miesiąc czasu, a cała okolica nadzwyczaynie się zmienia: cała powierzchnia utwarza nagle jeden las ogromnych ostów, do 11 stóp wysokich i zupełnie rozkwitłych; po obudwóch stronach drogi zniknął wszelki widok, nie ujrzy już bydła, a łodygi tak bliskie są siebie i tak są mocne, iż zdają się tworzyć las nieprzebyty. Ale scena ta zmienia się, zaledwie lato przemija: osty zaczynają więdnieć, główki ich nachylają się ku ziemi, liście kurczą się, łodygi czernieją, obumiérają, trzeszczą za każdém wiatru poruszeniem, aż nakoniec burza, zwana Pampezo, na ziemię je wywraca, gdzie prędko znikają, a na ich miéjscu wyrasta koniczyna i okrywa zielonością całą równinę. Dziwnie wydają się długie trawy, gdy w lecie wiatr niemi porusza. Również piękne są ich odcienia między kolorem żółto-brúnatnym. W całéj okolicy panuje nieprzerwana spokojność; nigdzie mieszkania, nigdzie nie ujrzy stworzenia

ludzkiego, i tylko kiedy niekiedy miga się w przelocie na widokręgu postać Gaucha, za którym w prostéj linji płaszcz szkarłatny wiatrem wytężony, unosi się w powietrzu; rozpatrując się daléj w tém przemijającém zjawisku, dostrzedz można jak jeździec ku głowie konia wszelkich sił do biegu wydobywającego, nachylony, za zdobyczą się ugania, i jak przed nim ucieka struś z szyją wyciągniętą, olbrzymie robiący kroki. Obadwa, jeździec i struś znikają, a rumak migający się jeszcze czasem na widokręgu, zostawia widza w pewności, że polowanie jeszcze się nie skończyło.

W okolicach tych jest zwyczajną odpowiedzią na zapytanie: *Co macie do jedzenia?* „Nada Senor” (nic, mój panie), a na zapytanie: *Czy macie, kury, jaja, chléb?* odpowiadają „no hai, no hai” (nie ma nic). Wstrzemięźliwe życie tych ludzi, zdaje się im zabezpieczać używanie nieprzerwanego zdrowia, a wcale nie znają niezliczonego mnóstwa chorób, powszechnych w starym świecie. Mięso wołowe niemal jedyne ich pożywienie, jest tak chude i włókniste, iż rzadko kiedy zachęca do niewstrzemięźliwego jedzenia, a jeśli go zgłodniały *Gaucho* za wiele spożył, sama natura spiesznie go uzdrawia. Dostaje gorączki, utraca na parę dni apetyt i wkrótce odzyskuje zdrowie.

W ciągu swojéj powolnéj podróży umiał P. Miers lepiéj badać mieszkańców, niż kapitana Head, i co do otrzymania żywności szczęśliwszy był od niego. Mógł mieć owoce, kury, jaja, niekiedy chléb i mléko; często nawet jadał jak przysmaczek, zupę z Maisu, gotowaną w tłustości krajowéj; przy posiłku używają z kolei jednéj łyżki i wszyscy jedzą z jednego naczynia. Dostąpił razu pewnego tego szczęścia, iż grzeczna dama w wieku podeszłym, która z dumą wspominała swoich przodków w Kordowie, uraczyła go dwoma łokciami kiełbasy cielęcéj, ale żałował, że korzystał z jéj daru, dowiedział się bowiem, że kiełbasa ta zrobiona była z mięsa muła, zdechłego dwoma dniami piérwéj na chorobę, która u źwierząt tych jest nieuléczoną.

Mieszkanie Gaucha składa się zwykle z jednéj izby, w któréj się mieści cała rodzina, chłopcy, dziéwczęta, męczyźni i kobiéty, wszyscy razem. Oddzielna chata, o kilka kroków od domu położona, jest kuchnią; tak w niéj, jak w dachu izby mieszkalnéj, pełno jest dziur, co dowodzi, jak niedbali są mieszkańcy. Pchły i *Binchucas* (rodzaj pluskiew, wielkości chrząszcza) napełniają mieszkanie w lecie; z tego powodu cała rodzina sypia przed domem na ziemi, a podróżny w nocy przybywający, roz-

siodławszy konia rozgościć się może, gdzie mu się podoba. Jedynie po obnażonych nogach osób spiących, wiedzieć może przy kim się położył, gdyż wszyscy obwinięte mają głowy w płaszcze i skóry. W zimie sypiają wszyscy w jednéj izbie. Wieczorem przynoszą do izby pieczeń wołową na rożnie, wtykają go w ziemię, *Gaucho*, podaje gościowi do siedzenia czaszkę końską, wszyscy inni siadają do koła pieczeni na podobnych czaszkach i odrzynają wielkie sztuki długiemi nożami. Słabe światło lampy łojem napełnionéj oświcca chatę, a ogrzéwa ją żar węgli. Na ścianach wiszą zwykle dwa lub trzy wędzidła, ostroga i kilka rzemieni do chwytania bydła; zamiast kołków powbijane są na ten cel kości w ściany. Na podłodze widać było kilka kup, których nie można było rozpoznać. „Ile razy”— mówi kapitan Head— na podobnéj kupie utrudzony usiadłem, tyle razy usłyszałem pod sobą, albo krzyk dziecka, albo głos młodéj dziewczyny, zapytującéj mię łagodnie, czegobym żądał, często nawet wyskoczył z podemnie pies ogromny! Gdy razu jednego siedząc na czaszcze końskiéj, przy węglach ręce grzałem i zatopiony w myślach na dach chaty patrzałem, w mniemaniu, że sam w niéj jestem, poczułem niespodziewanie, że się cóś poruszało,

i ujrzałem dwoje obnażonych dzieci czarnych, czołgających się do ognia. Wylazły one z pod płaszczów, a późniéj przekonałem się, że oprócz nich znajdowało się w chacie wiele innych również przykrytych osób, a z niemi kilka kur na jajach siedzących. Często po ocknieniu się zrana, spostrzegłem na sobie koguta i nie raz przebudzał on pianiem mieszkańców chaty, stojąc na mojéj głowie. Wszyscy zwykli wstawać, jak tylko świtać zaczyna."

Gaucho rozwija wcześnie swoje zdolności: dzieckiem będąc, umieszczony w skórze wołowéj, do dachu chaty przymocowanéj, uczy się sam kołysać; późniéj czołga się obnażony z nożem ostrym w ręku, na stopę długim, który mu służy za zabawkę, a gdy już cokolwiek chodzić może, wprawia się zawczasu do przyszłych zatrudnień zarzucając sznurek na psy, gęsi i inne źwierzęta domowe. W tym wieku zaczyna również jeździć konno, wspinając się na konia po ogonie; doszedłszy lat cztérech pomaga starszym wpędzać bydło i konie w miéjsca ogrodzone i nie raz dogoniwszy konia, który się od stada odłączył, przypędza go na powrót nieustannie okładając biczem. W ogólności obchodzą się z końmi nielitościwie; ogromnemi ostrogami kaléczą im boki aż do krwi.— „Co ci jest?"— zapytał ra-

zu jednego kapitan Head osiemnastoletniego, rosłego i wielką głowę mającego *Gaucha*, który głośno szlochał i łzami się zaléwał, „możeś co zgubił? może ci umarła żona, albo kochanka?"— „Ah! - odpowiedział stroskany młodzieniec— *Ho perdido mis espuelos!*" (Zgubiłem moje ostrogi). W miéjsce kochanki, lub żony, mógłby miéć inną, ale w Pampas trudniéj jest o ostrogę, te skrzydła, które jak się kapitan Head wyraża, konieczne są dla *Gaucha*, jeśli chce miéć żywność. Już w młodym wieku, zaczynają być *Gauchowie* przewodnikami podróżnych w *Pampas*, i są prawdziwymi centaurami. Widok tych małych tworów na koniu grube mających głowy, sprawia wielką przyjemność; pędzą oni konie z największym pośpiechem i zdaje się, iż powinniby pędząc po chropowatéj drodze szyję za każdym razem łamać. Ta chropowatość powierzchni ztąd pochodzi, iż małe zwiérzątka, zwane *Biscachos*, podobne do królików, podkopują ziemię i małe wzgórki tworzą. Mówią, że przy otworach tych jam podziemnych, zawsze dwie sowy za dnia na straży stoją.

Gauchowie umieją rozpoznawać w podrożach swoich ślady ludzkie od zwiérzęcych, w czém nierównie doskonalsze mają oko, niż ludzie ucywilizowani. Z małozna-

czących okoliczności umieją wnosić, co się w odległości działo, albo jeszcze dzieje. Gdy razu jednego kapitan Head obok *Gaucha* konno przejeżdżał, wzniósł tenże nagle oczy ku Niebu i rzekł: *Patrzaj, tam jest lew!* „Ocknąłem się, mówi kapitan Head z moich marzeń i natężyłem wzrok, w górę oczy podniósłszy, lecz nic nie spostrzegłem; nakoniec pokazał mi Jndjanin wysoko w powietrzu mnóstwo sępów, które się unosiły nad pewnym punktem ziemi bez żadnego ruchu. Jndjanin powiedział mi, że pod niemi znajduje się pożerający zdechłe źwierzę lew, który ich z tego miejsca spłoszył. Wkrótce potém przybyliśmy na takie miéjsce, gdzie nieco krwi znać było; zatrzymaliśmy się na chwilę, aby się przypatrzyć, przy czém zrobiłem uwagę, że może w tém miéjscu kogo zamordowano: Nie!— zawołał *Gaucho* i wskazując na bliskie stóp ślady rzekł:— Ktoś tu z konia spaść musiał, i pokaleczył pysk koniowi, który krwią się broczył, nim jeździec wsiadł na niego. Może też,— rzekłem znowu,— skaleczony był człowiek.— Nie! tu oto o kilka kroków daléj są ślady konia, a z nich widać, że jeździec galopem w dalszą puścił się drogę."

Pan Miers, wędrownik spokojniéjszy, nie dziwi się tyle ani *Gauchom*, ani równi-

nom *Pampas*, co żywego charakteru Kapitan Head. Nie doznał on przyjemnéj chwili, tak z powodu złego pokarmu i słonéj wody, jak z powodu mocnéj rosy, która przemaka suknie tych, którzy pod gołém niebem sypiają, co jest rzeczą konieczną, jeśli kto uniknąć chce robactwa, nakoniec z powodu obawy Jndjan, *Montaneros* i innych. Ukąszenie od *Mosquitos* wystawia jak rzecz prawdziwie okropną; ścigają one, jak wielka chmura, i njepodobna jest ujść ich jadowitych żądeł, nawet i ręce zakrywszy. „Nadzwyczaj długa stacja— mówi P. Miers, utrudziła nas bardzo, bolały nas napuchnięte twarze i ręce; najwięcéj zaś cierpiała żona moja, któréj twarz tak była zmieniona, iż ją zaledwie poznać mogłem. Cała okolica do koła, wyjąwszy kilka parowów wodą napełnionych była wielkim moczarem, okrytym trawą. W ciągu téj całéj utrudzającéj podróży od *Melinque* do *Lastunas*, nie widzieliśmy ani jednéj chaty, ani jednéj skiby, ani wołu, ani konia, zaledwie ujrzeliśmy gdzie niegdzie korzonki. Była to nieprzejrzana puszcza, któréj milczenie przerywało tylko brzęczenie straszliwe owadów. Grunta jakkolwiek słonawe, składały się przecie z ziemi czarniawéj bez najmniéjszych cząstek krzemionkowych; od czasu, jakeśmy z Buenos-Ayres wyjechali,

nie widzieliśmy ani piasku, ani gliny, ani krzemionki.

Ale jakkolwiek wielkie jest ukąszenie od *Mosquitos*, nie może być jednak porównane z ukąszeniem pluskwy skrzydlatéj. W osadzie jednéj widział P. Miers jak wszyscy mieszkańcy za obrębem domów nocowali, chociaż wiatr bardzo był przykry. „Nie pojmowałem— mówi— z początku, dla czegoby zamiast nocowania pod dachem, wystawiali się na burzliwość powietrza. Lecz gdy dokładniéj okolice poznałem, nie miałem już żadnéj wątpliwości. Pochodziło to z obawy wspomnionych pluskiew skrzydlatych, które z kształtu do zwyczajnych podobne, ale jak chrabąszcze są wielkie. Owad ten ukrywa się w dzień w dachach słomianych, lub trzcinowych, i pokazuje się dopiéro wieczorem; z tego powodu stawiają mieszkańcy łóżka w pewnéj od domów odległości i zwykle naprzeciw wiatru, aby się zabezpieczyć od ukąszenia. Czystość i staranność nie ochroni podobnie jak od zwyczajnych pluskiew od tego owadu, gdyż *Binchuca*, (tak go nazywają) ma skrzydła i łatwo z miéjsca na miéjsce przelatuje. Są one pospolite w *Mendoza*, *S. Juan* i prowincjach północnych. W mieście *Mendoza* jest ich mnóstwo; z téj przyczyny mieszkańcy, chcąc się od nich obronić oblepia-

ją dachy gliną, i nim się spać kładą, oglądają starannie ściany domu, lecz najczęściéj przepędzają noc na podwórzu.

Okropne opowiadania o napadach Jndjan, powtarzane podróżnym przez pocztyljonów, nie należy brać dosłownie. Podług kapitana Head chciwość krwi nie rozciąga się do samych Jndjan. „Gdym razu jednego zapytał *Gaucha*, który z wyprawy przeciw Jndjanom dopiéro co powrócił, wieleby w niewolę zabrano jeńców, odpowiedział mi tenże wzrokiem, który zawsze w pamięci mojéj tkwić będzie: zgrzytnął zębami, otworzył usta, pociągnął palec przez szyję, nachylił się do mnie i rzekł głosem stłumionym, spiąwszy konia ostrogą: „*Sematan todos*" (Zabijamy wszystkich.— P. Miers udziela wyjątek z dziennika doktora Leigthon, który towarzyszył patrjotom chilijskim na wyprawie przeciw Araukom ; pobudzili tych Jndjan do wojny zbiegli Hiszpanie; w dzienniku tym znajdują się tak straszne opisy okrucieństw, jakich sobie pozwalali patrjoci przeciw Jndjanom, i spustoszeń, jakich się dopuszczali na ich własności, iż czytanie ich zgrozą przejmuje.

Na obszernéj równinie *Pampas*, lub blisko jéj granic, leżą oprócz *Buenos-Ayres* cztéry inne miasta: *S. Luis*, niedaleko środka równiny, *Mendoza* na spadzistości *Kor-*

dylerów, *Kordova* na schyłku gór tegoż nazwiska i *S. Fé* nad brzegiem rzéki Parana. Na téj równinie leży także miasto *S. Juan*, prawie o mil 200 od Mendozy na północ. Obok obudwóch miast piérwszych idzie droga z *Buenos-Ayres* do *Chili*. Kapitan Head dowiedział się, że w *S. Luis* równych doznawać trzeba niewygód, jak w saméj pustyni *Pampas*, gdy bowiem niedaleko tegoż miasta wywiedzieć się chciał, czy w niém znajduje się jaki dom gościnny, odpowiadano mu: *No hai Sennor*, *no hai!* (Nie ma Panie, nie ma); podobnež odbierał odpowiedzi, gdy się pytał o łóżka i kawiarnie. Udał się do samego pocztmistrza i powiedział mu, że przez cały dzień konno jechał, nic nie jadłszy i że będąc zgłodniały, chciałby wiedzieć, gdzie się może posilić.— *Lo que quiere Sennor*, *tenemos todo*. (Wszystko mamy, czego żądasz); ale pokazało się późniéj, że tém wszystkiém było mięso krowie i kury. Kapitan Head nie mogąc się doczekać kury, chciał aby mu jaj ugotowano. „*Non hai Sennor*” odpowiedziała usługująca dziewczyna.— „Jakże! więc w całém mieście ani jednego nie ma jaja! zawołał podróżny. — „Dostaniemy je jutro.” odpowiedziała dziewczyna.

Ogrody w *S. Luis* obwiedzione są murami z gliny stawianemi; rosną w nich la-

torośle winne, drzewa figowe, wiśniowe i inne owocowe, ale nawet w lecie nie można dostać owoców, podobnie jak mléka. *S. Luis* ma do 4,000 mieszkańców. Na publicznym placu znajdowało się blisko 300 nowozaciężnych, których miano wysłać do *Buenos-Ayres* przeciw Brazyljanom. Kapitan Head powiada, że sobie nie można wyobrazić dzikszych od nich ludzi. Zdawało się, jak gdyby jedynym ich zamiarem było pokonywać straże; kowal miéjscowy nie chciał się podjąć małéj naprawy dla podróżnego, wymawiając się, że robienie kajdan na rekrutów cały czas mu zabiéra. *Buenos-Ayres* nie odniesie wielkich zwycięstw, jeśli w wojnie z Brazylją polegać będzie na pomocy swoich odległych prowincji. Trudność w zgromadzaniu niewielkiéj i rozproszonéj ludności, wstręt od porzucania zagród ojczystych i zazdrość, jaką wspomnione miasta przeciw Buenos-Ayres są przejęte, stać będą na przeszkodzie spólnemu działaniu; tylko nieprzebędna granica Kordylerów i korzyści portu morskiego, jakkolwiek ten w złym znajduje się stanie, mogły nakłonić mieszkańców tych miast do połączenia się z Buenos-Ayres i do zawiązania wzajemnych stosunków handlowych.

S. Luis de la Punta jest podług P. Miers jedném z najnędzniéjszych miast w A-

meryce południowéj: ma tylko 200 mieszkańców, wszystkie domy noszą na sobie cechę ubóstwa. Mieszkańcy nie mają żadnych wiadomości, są niecierpliwi, zabobonni, zarozumiali i wynoszą się nad innych. Jednakże okolica jest urodzajna i piękna. *Mendoza* jest natomiast porządném miasteczkiem, ma plac publiczny, proste ulice, kościoły i klasztory. Domy są nizkie, dachy gliniane płaskie, mury pobielane, a gdzieniegdzie znajdują się okna z szybami szklannemi. Mieszkańcy z powierzchowności wnosząc, są spokojni i porządni, i utrzymują między sobą społeczeńskie stosunki. Dziéwczęta przechadzają się wieczorem na publicznym placu, zwanym *Alameda* i ubiérają się tak starannie, jak w Paryżu i Londynie. W czasie, gdy publiczny plac ludźmi jest napełniony, zupełnie obnażone kobiéty kąpią się w przyległéj rzece, a widok ten ponawia się codziennie z rana i wieczór.

Oprócz téj nieprzyzwoitości, dopuszczają się mieszkańcy innych wykroczeń, niemal w całéj Ameryce południowéj upowszechnionych, szczególnie zaś oddani są namiętnie grom hazardownym. „W niedzielę wieczorem, mówi P. Miers, zajętych było w jedném miéjscu około 50 osób ulubioną grą hazardowną, zwaną *Monte*. Przy każdym

stoliku jeden tylko zdawał się zatrudniać kartami, wszyscy inni robili zakłady o karty, które bankier wyrzucał; na każdym stoliku leżały wielkie kupy złota. Dziwiłem się właśnie i wysokości gry, i mnóstwu pieniędzy, gdy w tém nagle wszyscy z miéjsc się zerwali, spiesznie ku drzwiom pobiegli, na kolana padli, modlitwęo dmówili, kiedy tymczasem my sami tylko tak, szczególnym widokiem zdumieni, na miéjscu pozostaliśmy. Po chwili, w czasie któréj największe panowało milczenie, wróciło spiesznie całe towarzystwo od stolików, i gra ciągnęła się daléj, jak gdyby nic niebyło zaszło. Dopiéro, gdym się zapytał, powiedziano mi, że tak nagłe poruszenie było skutkiem lekkiego trzęsienia ziemi, któregośmy jednak wcale nie uczuli.,,

Kapitan Head nie uwiadomia, które kopalnie podług dawnych sobie zleceń, najwięcéj zwracały jego uwagę. Wyjechawszy z *San Luis* zwiedził kopalnie złota w *Corro de las Carolinas*, znajdujące się w szeregu odosobnionych pagórków, leżących na północ tego miasta. Przeprawiwszy się przez strumyk, przybył do nędznéj osady zwanéj *Las Carolinas*, położonéj przy samych kopalniach. Wszystko było w niéj nacechowane ubóstwem; w ogródkach górników, jeśli ich tak nazywać można, uzbierał Ka-

pitan Head nieco piasku złotego, a w chatach tamtéjszych, kupić chciał kilka kupek takiego proszku; lecz górnicy niechcieli przyjąć pieniędzy i wręcz mu powiedzieli: *No vale nada.*„ (Pieniądze nie są potrzebne).

Zwiedził następnie kopalnie *Uspallata*, znajdującą się w górach, na północ od *Mendoza*. Było to w zimie, ale podróżny doznawał w dzień większych upałów, niż w Anglji porą letnią; w nocy zaś marzła woda w izbie tuż obok niego. Powiadano mu, że w téj części kraju, rzadko dészcz pada; jakoż w rzeczy saméj, widok ziemi był bardzo smutny: cała obnażona, nigdzie zdźbła nie ukazywała i tylko wyschnięte zwiérzęta zdechłe, tu i owdzie było widać. Jeden z górników Kornwalskich, obejrzawszy się pełen zdziwienia, z wielką uwagą patrzał na nią, i rzekł: „Prawdziwie w ziemi téj musi być trucizna.” Kopalnie zawiodły oczekiwania podróżnego, jakoż wolał się przeprawić przez Kordylery, aby zobaczyć płody kraju *Chili*. Do tak górzystéj podróży, nie można używać koni z równiny *Pampas;* muły muszą zastępować ich miéjsce. Po upakowaniu na nich ciężaru, zawiązują im oczy, aby ich zniewolić do spokojnego stania. W ciągu téj operacji okazuje muł wielką niespokojność, a po zdjęciu zasłony, usiłuje mścić się za wyrządzony so-

bie przymus, już to rzucając się na inne muły, już kopiąc nogami; uspokaja się i wraca do cierpliwości, jaka zwiérzętom tym jest właściwa, wtenczas dopiéro, gdy widzi, że nadaremnie pozbyć chce ciężaru, który go obarcza.

Im wyżéj wstępuje się na wielki gór łańcuch, tym częściéj dają się spostrzegać ścierwa mułów; podobnie niemi napełniona jest cała droga z Mendoza do S. Jago. Są to wyschnięte szkielety, mające tylne nogi wyciągnięte, a głowę zwróconą ku szczytowi góry, która ich zguby była przyczyną. Trudy, jakie podróżni ponosić muszą wdzierając się na Kordylery, skaliste wzgórza, prostopadłe skały, między ciasne wąwozy w górach wykute, wszystko to znajduje się niemal na wszelkich innych górach pierwotnych, ale tu niebezpieczeństwa i trudy są nierównie większe, gdyż okolice równe, są okryte wiecznym śniegiem. W pustyni téj znajdują się co dwie, lub trzy mile, murowane domki, do których podróżny schronić się może przed straszną burzą śnieżną, zwaną *temporales*, która pomimo tego, wielu życia pozbawia. W jednym z tych domków, wkrótce przed przybyciem kapitana Head, umarło z głodu sześć osób z dziesięciu, które tam schronienia szukały, a inne okazywały zaledwie słabe znaki ży-

cia, gdy ich znaleźli przybywający podróżni.,, Na murach tych domów — mówi kapitan Head — nie było nakreślonego, ani jednego nazwiska, ani jednego wyrazu, co przekonywało, że ci, którzy tam ducha oddali, zbyt własnemi cierpieniami byli zatrudnieni; okropność ich położenia nie była do wyrażenia, a tak mury pozostały niemymi świadkami wycierpianych nieszczęść."

Oprócz *Guanacho*, znajduje się na téj części *Andów* mało czworonożnych zwiérząt, podobnież i ptaków nie ma wiele. Sęp na równinach należy do rodzaju *Aura* na *Kordylerach* do *Kondorów*; piérwsze i drugie widzieć można niekiedy w wielkich stadach krążące w powietrzu nad ściérwem, a żarłoczność ich jest tak wielka, iż po nasyceniu się nie mogą do góry wzlecieć. Jeden z górników kornwalskich widział takiego ptaka obok ściérwa końskiego, przybliżył się, uchwycił za szyję i używał wszelkich sił aby go wywrócić, ale *Kondor* bronił się długo, wszelako w końcu został pokonany, a górnik wydarł mu ze skrzydeł kilka piór i przyniósł je z sobą, jako znaki zwycięztwa. Jnny jego towarzysz widział, jak pokonany i kilku piór pozbawiony *Kondor*, po odejściu zwycięzcy wesoło zbił się w górę.

O kilka mil od S. Jago, był kapitan Head

świadkiem widowiska, które z samotnością Andów dziwnie się nie zgadzało. „Spotykałem— mówi— całe gromady ludzi konnych, rozmaitego wieku i stanu; jedni jechali do miasta, drudzy z niego wracali. Wszyscy jechali trzęsącym kłusem, a ubiór niektórych był bardzo dziwaczny. Konie dźwigały czasem dwa ciężary razem: tu dwoje dziewcząt, tam chłopca i staruszkę, gdzie indziéj trzech chłopców, lub dwie staruszki; następnie jechał Xiądz w białym kapeluszu z szérokiemi kaniami, i w białym habicie. Mléko, jagody, melony, ryby do strzemion przywiązane, wszystko trzęsło się w tym kłusie. Ale trzęsienie się tych jeźdzców, większe niż samego truchtu koni, obok szczególnéj jezdzców ospałości dziwny wystawiało widok.”

Obadwa podrożni w tém się zgadzają, że nietolerancja jest przyczyną moralnego upośledzenia mieszkańców *S. Jago* i *Chili*. P. Miers szczególniéj wyraża się w tym względzie bardzo dobitnie. Lud nienawidzi Anglików, z powodu różnicy wyznania; z tego powodu życie ich jest często w niebezpieczeństwie. „*Chilijczykowie*— mówi P. Miers nie mają żadnéj cnoty, ale też mniéj są występni, niż większa część *Kreolów*. Z otrętwiałości uczuć, obojętności i z wielu innych względów podobni są

do Chińczyków; ubiór ich zrobiony jest na wzór chińskiego; równie jak Chińczykowie mają czoła szerokie i niskie, oczy małe i chytre, a nawet podobni są do nich co do samolubstwa i skłonności do drobnéj kradzieży. Odznacza ich również niepospolita cierpliwość i wytrwałość w ponoszeniu przykrości; rzadko się zdarza, iżby się gniewem unosili, słowem, nieczułość ich jest trudna do opisania. Cudzoziemiec może Chilijczyka lżyć od ostatnich wyrazów, może go obwiniać o fałszywość i oszustwo, może się na nim najgwałtowniéj srożyć,— Chilijczyk nie przestanie dla tego być zimnym, zniesie spokojnie wszystko, nawet bicie i tylko patrzéć będzie na cudzoziemca z drwiącym uśmiéchem."

P. Miers wystawia obraz odrażający płci żeńskiéj w Chili; odznacza ją niedbała powierzchowność, brak ochędóstwa, nieprzystojność w ubiorze i zwyczajach, a to nietylko w klassach niższych, ale nawet w średnich i wyższych. Młode panny nie mają przyjemnéj powiérzchowności; ułożenie ich jest bardzo gminne, każda drobnostka rozsmiesza je, a nadto panuje między niższą klassą obrzydły zwyczaj spluwania.

Już wyżéj powiedzieliśmy, że południowi Amerykanie, tak bogaci, jak ubodzy, tak kobiéty, jak mężczyźni, bez różnicy stanu

i powołania, namiętnie lubią grze się oddawać. Pewna kobiéta w podeszłym wieku zwykła była wyjeżdzać z *S. Jago* do *Valparaiso;* tam zakładała gry otwarte, a młode dziewczęta, które z sobą przywoziła służyły jéj do zwabienia cudzoziemców; jakoż officerowie fregat angielskich, które się tam znajdowały, przegrywali u niéj znaczne summy. Męczyzna w czarnym ubiorze pełnił przy niéj obowiązki bankiera.

Zabobonność Chilijczyków najwydatniéj okazała się r. 1822 w czasie okropnego trzęsienia ziemi, które wszystkie domy w *Chili* zburzyło, koryto rzek zmieniło, wysokie szczyty *Andów* wstrzęsło i brzegi na 50 mil wzdłuż o 3 stopy nad dawniéjszą ich wysokość podniosło. Nie można sobie uczynić wyobrażenia o tém nadzwyczajném w przyrodzeniu zjawisku, kiedy ogromna siła onego tak okropne zrządziła skutki na przestrzeni, rozciągającéj się przeszło na 400,000 angielskich mil kwadratowych. Kapitan Head przekonał się naocznie o spustoszeniach tych, tak w górach, jak w kopalniach. „Zwiedziłem — są jego słowa — kopalnię w towarzystwie bardzo rozsądnego górnika chilijskiego, który z wielu innymi znajdował się w chodniku podziemnym, na sto sążni głębokim, dnia 19 listopada 1822, kiedy właśnie owe pamię-

tne trzęsienie ziemi, prawie całe miasto *Valparaiso* w gruzy zamieniło. Opowiadał mi, że kilku jego towarzyszów życie straciło i że się z niczém nie da porównać okropność ówczesnego położenia. Góra cała, tak się trzęsła, iż z trudnością można było na nią wstępować, ogromne ściany chodnika zapadały się i wszyscy czekali tylko chwili, w któréj ich ziemia zgruchocze, lub żywcem zagrzebie. Dostawszy się do otworu szybu, ujrzał widok podobnie okropny: tumany kurzu niedozwalały nawet widziéć własnéj ręki; wielkie skał odłamy staczały się po górze, na któréj się znajdował, słyszał, jak się koło niego toczyły, a niewiedział, jakby ich uniknąć, stał więc spokojnie na jedném miéjscu, obawiał się bowiem krok jeden naprzód postąpić. — We wszystkich kopalniach chilijskich, jakieśmy zwiedzali, widzieliśmy okropne ślady trzęsień ziemi, i z zadziwieniem uważaliśmy, że wszystkie góry w podstawach były wzruszone."— Wspomnione trzęsienie ziemi zniewoliło tysiące rodzin do szukania ocalenia pod gołém niebem, gdzie z powodu ulew, niemal pływały. Dészcz w listopadzie był tu zjawiskiem nieznaném i niemal większą przerażał trwogą, niż samo trzęsienie ziemi. Uważano go za oznakę gniéwu boskiego na rządców tego kraju za to zesłaną, że dozwo-

lili znieważać ziemię chilijską obecnością kacerzy angielskich!

Z S. *Jago* wyjechał kapitan Head do kopalni złota w *El Bronce de Petorca* i w *Caren*, ale nie uwiadomił o nich czytelników. Zwiedził następnie kopalnię srébra w *S. Pedro Rolasco*, znajdującą się o 15 mil ang. na jednym z najwyższych cyplów gór *Andes*. Góry te sprawiają wzniosły, ale zarazem okropny widok. Było to śród lata, a śnieg leżał na 20 do 120 stóp głęboko— rozumie się w parowach. Samotna chatka, dwóch, lub trzech nędznie wyglądających, wybladłych i wyschłych górników, to było wszystko, co można było uważać za ślady życia: gęsty obłok dymu wznosił się z szczytu jednéj góry, z wielkiego wulkanu *S. Francesco*, a kopalnia srébra, przed którą się podróżny znajdował, zdawała się prowadzić wprost do przepaści wulkanicznych. Kopalnia ta nieprzystępna jest w zimie przez całe siedem miesięcy; zawieruchy śniégowe zwane *temporales*, przypędzają całe chmury tak nagle, iż częstokroć górnicy przed niemi schronić się nie mogą, a nawet pod śniégami giną, nie dobiegłszy do chaty. Liczne krzyże, tu i owdzie zatknięte, wskazywały miéjsca, gdzie ci nieszczęśliwi życie zakończyli.

Kapitan Head spuścił się do szybu je-

dnéj kopalni, jako od niedawnego dopiéro czasu otworzonéj i zastał w niéj kilku nędznych górników, pracujących podług dawnego u Hiszpanów przyjętego systematu. „Zstępowaliśmy najprzód— mówi— przez galerją ukośnie idącą, a następnie spuszczaliśmy się po karbowanych żérdziach, które zastępują miéjsce drabin we wszystkich południowo - amerykańskich kopalniach. Zszedłszy blisko 250 stóp, już to po żérdziach, juz przez chodniki, w których śnieg i błoto były nam za kostki, weszliśmy do miéjsca, gdzie górnicy pracowali. Z zadziwieniem patrzyliśmy, z jaką siłą ciężkie podnosili młoty i z jak niestrudzoném pracowali natężeniem. Podczas, gdy górnicy, zwani *Barreteros* w chodnikach byli zajęci, inni zwani *Apires* znosili rudę na barkach. Zasiągnąwszy potrzebnych nam wiadomości, i uzbiérawszy próby rudy, wstąpiliśmy sami na żérdzie, gdy tymczasem jedni *Apires* byli nad nami, drudzy pod naszemi nogami."—

Wspinanie się na karbowanych żérdziach było tak utrudzające, iż niemal zupełnie byliśmy znużeni, gdyśmy u otworu stanęli; górnicy przeciwnie zdawali się nie czuć żadnych trudów; postępowali za nami spokojnie, trzymając długie rozszczepione kije, w których umieszczone były swieczki, i

wołali na nas, abyśmy ich nie zatrzymywali. Apire, który na przodzie postępował, gwizdał niekiedy, a na znak ten zatrzymał się cały orszak. W istocie, ciekawą było rzeczą spoglądać na górę i na doł i widzieć te nieszczęśliwe stworzenia, wspinające się przy nędzném świetle z ciężarem na barkach; ale nieraz ciekawość uległa uczuciu bojaźni, gdy pomyślałem, że wszyscy połamalibyśmy szyje, gdyby jeden z tych spadł, którzy nademną postępowali."—

Można sobie wystawić trudy tych górników, kiedy jeden z najsilniéjszych Anglików, którzy się ze mną znajdowali, zaledwie mógł postąpić pod ciężarem, który oni do góry po żérdzi nosili; inni Kornwalczykowie nie chcieli nawet doświadczać sił swoich, z obawy, aby im ciężar krzyża nie połamał. Jedynym pokarmem tych ludzi godnych politowania, jest nieco suszonego mięsa i woda śniégowa! Podczas, gdy tak nędzny obiad w chacie spożywali, nie mówili do siebie ani słowa; niektórzy spoczywając na skórach baranich, które stanowią całą ich pościel, mieli oczy wlepione w popiół ognia, wszędzie rozłożonego, inni zdawali się rozmyślać o smutnym losie swoim. Byli to wszakże ludzie wolni, a jakiż los musiał być Jndjan, którzy pracowali, jak niewolnicy!

Rudę z téj kopalni przetapiają w miéjscu nieco odległéjszém. Judjanie uzyskawszy w skutku rewolucji wolność, opuścili wraz z Kreolami kopalnie, a poźniéj niektórzy tylko do nich wrócili. W rzeczy saméj, praca w tych kopalniach należy do najsmutniéjszych w całym świecie, a nadto dochód z nich nie wynagradza nawet miernéj. Nie wiedziały o tych okolicznościach angielskie towarzystwa górnicze i dały się oszukać nie tylko ajentom amerykańskim, ale nawet własnym rodakom. Piérwsze chilijskie towarzystwo górnicze miało miljon f. szt. kapitału, i zawiązało się pod opieką *Mariano de Egana*, pełnomocnego ministra Rzeczypospolitéj chilijskiéj, drugie pod opieką tegoż ministra miało 1,500,000 f. szt. kapitału.

Kapitan Head dowodzi, że żadnemu towarzystwu angielskiemu nie mogłyby się powieść przedsięwzięcia około nędznych kopalni w *Buenos-Ayres* i *Chili*; gdyby się nawet w lepszym znajdowały stanie, mnóstwo trudności stałoby przedsiębiercom na przeszkodzie. Odległość jednéj kopalni od drugiéj i od innych potrzebnych materjałów, złe drogi, trudne do przeprawy rzeki, odległość 1,000 mil ang. od morza, nadzwyczaj suchy klimat, a ztąd brak wody, koniecznéj do machin parowych, do płuka-

nia kruszcu i na napój dla górników; wpływ gorąca w kopalniach na zdrowie Anglików, mała ludność, brak wychowania i zasad moralności między ludem, lenistwo klas uboższych, rozwiązłe życie kobiét, nadewszystko charakter, sposób życia, zwyczaje i potrzeby angielskiego górnika, niezupełne jeszcze ustalenie rządów, przemożny wpływ jednego stanu, te są przeszkody, na któreby się wystawiać musiały nowe towarzystwa górnicze. Nadto, rząd odtrącałby sobie znaczną część od wyprowadzanych kruszców, a ruda chilijska tak mało wydaje, iż dawny rząd hiszpański byłby kopalnie niezawodnie zarzucił, gdyby w niewolnikach indyjskich nie był miał bezpłatnych górników. Zresztą, nie należy sądzić, iżby *Kreolowie* nie znali sposobów oddzielania kruszcu od rudy, mają bowiem w tém nie tylko doświadczenie i zręczność, ale nawet umieją oddzielać je taniéj.

III.

DZIENNIK PODRÓŻY

Kapitana James PUREFOY (*)

Odbytéj z Man-tszao na wyspie Hainan (**) *do Kantonu.*

I.

Odjazd z Macao. — Rozbicie okrętu. — Wyspa Hainan. — Man-tszao. — Lock-hoy.

Dnia 11 Listopada 1804 roku wypłynęliśmy do Macao, lecz nazajutrz ku wieczorowi, postrzegliśmy, że okręt podczas burzy przedziurawił się i że blisko do połowy nabrało się już wody. Ponieważ burza wzmagała się bezprzestannie i prawie zamieniła się w orkan, a wody co raz więcéj w okręcie przybywało, niebyło więc innego ratunku, przynajmniéj dla ocalenia życia, jak dozwolić aby okręt wiatrem pę-

(*) Autor tego dziennika znajdował się jako passażer na okręcie *Fryendskip* wysłanym z *Macao* do *Turon* w Kochinchinie, przez dom handlowy *Abbot* i *Maitland* w *Madras*, dla ułożenia pewnéj negocjacji z Królem tego narodu. Przekład ten jest z niemieckiego; oryginał był umieszczony piérwszy raz w pismie *Asiatic journal* za Listopad i Grudzień 1825 r.

(**) Wyspa Hai-nan jest to jedna z pięciu zna-

dzony, wpadł na wybrzeże. Nadzwyczajnem dla nas szczęściem, przebył on w nocy między mnóstwem ukrytych skał w wodzie, przez otwór ogromnéj rozpadliny skalistéj i szczęśliwie na miałczyznę niedaleko brzegu wpędzony został.—Domniemanie nasze, że się na wyspie Hainan znajdujemy, sprawdziło się: mieszkańcy nadbrzeżni, rybacy, przyjęli nas z wielką gościnnością, i póty nietknęli się niczego u rozbitego okrętu, póki niedaliśmy pozwolenia.

Dnia 15 postanowiliśmy udać się wgłąb kraju, w zamiarze dostania się do Macao, a przynajmniéj do jednego z bliższych portów indyjskich.—Było nas wszystkich 55 osób, w któréj to liczbie 10 *Laskars*, czyli majtków wschodnio-indyjskich, jeden chińczyk jako pasażer, dobosz i fajfer. Zrana o godzinie 8 puściliśmy się w drogę, w kierunku północno-zachodnim, zostawiwszy szczątki z rozbitego okrętu gościn-

---

czniéjszych, i do Chin należących wysep morza wschodniego, znajdująca się między 19 stop. szer. północ. i 109 stop. dlug. wschodniéj. Wyspami temi są: 1mo) *Tsong-ming*, 2do) *Tai-ouan* czyli *Formosa*, 3tio) *Hai-nan*, 4to) *San chan* albo *Sanciana* poświęcona śmiercią S. Franciszka Xawerego w roku 1552 i 5to) *Macao*.

nym wyspiarzom, którzy nas w żywność i niektóre potrzeby na drogę zaopatrzyli. Około południa stanęliśmy niespodzianie nad wodą, którą wzięliśmy za odnogę morską, na 6 do 7 mil ang. szeroką, ciągnącą się w prostym kierunku od wschodu ku zachodowi, ile tylko okiem dojrzeć można było. Niebawnie przybyło z drugiego brzegu kilka statków z ludźmi, którzy oświadczyli nam djalektem chińskim w Kantonie używanym, że gubernator z *Man-tszao* wysłał ich, dla sprowadzenia nas do stolicy téj prowincji. Wsiedliśmy więc na statki i przebyliśmy wodę, przekonawszy się że to było wielkie jezioro, zwane od krajowców *Man-tszao-sue*, otoczone okolicami najpiękniéjszemi i prawdziwie malowniczemi. Stanęliśmy u brzegu o godzinie pół do czwartéj, gdzie już na nasze przybycie, mnóstwo zebranego ludu oczekiwało.

Dalszą drogę około mil 20 (*), przebyliśmy piękną i ładnie zabudowaną okolicą, dopiero po zachodzie słońca stanęliśmy w *Man-tszao*, gdzie nas naprzód do komendanta, a następnie do gubernatora zaprowadzono. Podróżujący Chińczyk, służył

(*) W całym opisie jest rachuba na mile Angielskie, których 5, czynią 1 milę Polską z bardzo małą różnicą.

nam za tłumacza.—Gubernator mógł miéć blisko lat 70 wieku i był bardzo grzeczny: dla widzenia nas pozwolił żonom swoim zebrać się w sali posłuchalnéj, które z wielkim podziwieniem nam się przypatrywały. Po audjencji odprowadzono nas do *Miao*, (Świątyni) przeznaczonéj na nasze mieszkanie, dopókiby *Tsong-tu*, czyli Vice-Król wyspy Hainan, rezydujący w stolicy *Houy-hau* zwanéj, o naszém przybyciu zawiadomiony nie został. Był to gmach obszerny, otoczony murem, opasującym przestwór od 150 jardów czyli 450 stóp kwadratowych; wewnątrz jego był posąg bożyszcza umieszczony w niży zasłoniętéj zielonemi firankami jedwabnemi, otoczony dwoma rzędami małych figur rozmaitéj wielkości, stopniowo jedna od drugiéj mniéjszych.

Nazajutrz przysłał nam Gubernator 4,200 *Sapekas* (*) i nieco grubego ryżu, z czego przez pięć dni żyć nam kazano. Ten co żywność między nas rozdzielał, uskuteczniał to z jak największą skrupulatnością, bez względu na stopień lub wiek; mnóstwo ciekawych mężczyzn, kobiet i dzieci zbierało się zawsze dla widzenia nas, aż do naprzykrzenia.

(*) *Sapekas* albo *Sepeks*, jest to moneta z cynku, któréj 300 sztuk równa się blisko 2 złotym i 8 groszom polskim.

Dnia 18 oświadczono nam, że do 20 zostawać będziemy w *Man-tszao*, z przyczyny iż pokazała się flota chińskich rozbójników morskich na ciaśninie odłączającéj *Hainan* od wschodniego Chin wybrzeża, i że dla tego żaden okręt wyjść pod żagle nie chce. Użyłem tego czasu na zwiedzenie okolic: są to same prawie płaszczyzny, starannie uprawne i pięknie zabudowane, już to przez dosyć gęste wioski, już przez liczne odosobnione chaty. Od strony północno-zachodniéj zasłania je pasmo gór wysokich, z których najwyższa ma dwa szczyty, jak gdyby wieże jakie nad inne wzniesione.— Mury otaczające miasto stawiane z cegły palonéj, miały 18 do 20 stóp wysokości, i tyleż grubości, nie były jednakże obwiedzione rowem.

Szańce wydały mi się dalekiéj sięgające starożytności, źle były utrzymane, i zarosłe krzakami, a w wielu miéjscach dużemi drzewami. Z armat widziałem tylko dwie trzyfuntowe, przed jedną z bram na kamiennych podstawach umieszczone. Same miasto ma 4 bramy, pięknie bardzo sklepione, i bardzo dokładnie ku cztérem stronom świata obrócone. Ulice wązkie, brukowane były kamieniem gładkim; domy wprawdzie murowane, ale z pozoru dosyć nikczemne, i wszystkie prawie jedno-piętrowe tylko. Zdaje się, że

w dawniéjszych czasach to miasto było znakomite, bo blisko jedna trzecia część jego leży w zwaliskach. Jest w niém dużo *Miaów* czyli świątyń; niektóre z nich są gustowne, dosyć piękną robotą snycerską i malowidłami ozdobione. Strój mieszkańców *Hainan* podobny jest zupełnie chińskiemu; też same rysy twarzy ich odznaczają, ale Hainowie są lepiéj zbudowani, a Chińczykowie nieco bielsi.

Do dnia 1 Grudnia bawiliśmy w *Mantschao* objeżdżając przez czas naszego pobytu pobliższe okolice, w czém nam nietylko najmniéjszéj nie czyniono przeszkody, ale wszędzie z uprzejmością przyjmowano. Uważałem, że mieszkańcy w ogólności byli wiele ugrzecznieni i oświeceni, zawsze dobréj myśli, i tylko przez zbyteczną swą ciekawość stawali się nam nieco przykrymi. Gdyśmy przez wieś jaką przechodzili, kobiéty wybiegając naprzeciw nam wołały: *ta-lo-ug-tszume!* biedne rozbitki! uważałem także, że żałowały mocno gdyśmy się oddalali z kraju.

Ziemię znalazłem wszędzie urodzajną, złożoną z tłustéj czarniawéj gliny, pomieszanéj z pokruszonym białym granitem. Ziemia ta do roku dwukrotnie wydaje plony. Wszędzie było mnóstwo ptaków z piórami najpiękniéjszych kolorów; zwierzyny prawie do zbytku, a między témi bekasy, ku-

liki, czajki, tak zwane dżdżowniki czyli deszczowniki, (*Scolopax arquata*) dzikie kaczki, rozliczne rodzaje gołębi i wron. Między ostatniemi uważałem szczególniéj dwa gatunki: jeden podobny mocno do wron angielskich zwyczajnych; drugi téj saméj wielkości, mający białą obwódkę a raczéj obróżkę na szyi.

Jednego razu byliśmy obecni na przeglądzie wojska chińskiego, w następującym sposobie przez dwóch mandarynów wojskowych odbywany: officerowie zajęci przeglądem zasiedli na krzesłach: jeden z podwładnych officerów przywoływał koleją imiennie po pięciu żołniérzy, którzy uformowawszy półkole i dawszy każdy oddzielnie ognia z broni swojéj, 6 do 8 razy, na dawne powracali miéjsce; po nich przychodzili następni i tak aż do ostatniego. Naboju nie przybijali niczém, ale sypali proch w lufy z miarki robionéj z bambusu. Jch broń była dość niezgrabna i małego kalibru, strzelający zaś nachylali się tak nisko, że łokciem lewego kolana dotykali. Po odbytém strzelaniu wołano ich znowu po dwóch razem, do robienia pałaszem, włoczniami i pikami, w czém wiele zgrabności i wprawy okazywali, używając tém dla ochrony tarczy, mogącéj mieć 3 stopy średnicy.

Otrzymawszy pozwolenie, opuściliśmy

Man-tszao dnia 11 Grudnia. O godzinie 11 przed południem przywołał nas do siebie Gubernator, a dawszy każdemu oddzielnie po 5 *Sapekow* na drogę, pożegnał się z nami. Opatrzeni w przewodników i potrzebne paszporta, puściliśmy się w drogę w kierunku północno wschodnim, ale więcéj ku północy, wzdłuż jeziora *Man-tszao*, które w niektórych miéjscach, wązkiemi tylko przesmykami zdaje się być od morza przedzielone. Pierwszego dnia zrobiliśmy blisko 36 *Li* czyli 12 mil angielskich, zatrzymując się o godzinie w pół do szóstéj na nocleg, w miéjscu na spoczynek dla podróżnych przeznaczoném. W ciągu téj podróży przeprawiliśmy się przez kilka rzek, z których żadna nad 5 stóp głęboką nie była, przebyliśmy 4 miasta i wioski, gdzie zawsze znajdowaliśmy na rynku mnóstwo żywności na sprzedaż wystawionéj.— Okolice któreśmy przebywali, były pięknie zabudowane, chociaż znajdowały się w położeniu niskiém i bagnistém, i ileśmy dostrzedz mogli, zasiane były najwięcéj ryżem i kartoflami. Ludność wszędzie nadzwyczajnie liczna, wszędzie mieszkańcy niezmiernie grzeczni i uprzejmi, ale niemniéj od mieszkańców *Man-tszao* ciekawi byli. Drogi złe prawie wszędzie; zdawało się żeśmy niedaleko od morza podróż naszą odbywali, bo

na noclegach przy ciszy nocnéj, wszędzie szum odbijających się fali słyszeć można było.

Dnia 2 Grudnia szliśmy w dalszą podróż w tym samym kierunku nieco ku wschodowi. Wszędzie widzieliśmy najprzyjemniéjsze okolice, zapełnione miastami, wioskami i licznémi oddzielnie stojącemi chatami. Wypadło nam przez dziesięć miast i wiosek przechodzić i trzy rzeki przebywać. I tutaj drogi wszędzie były złe, i ani kawałka ziemi nieuprawnéj.— Uszedłszy 24 mil (angielsk.) stanęliśmy noclegiem w mieście *Lock-hoy*, gdzie złożyliśmy Gubernatorowi nasze uszanowanie, który nam jednę z świątyń (*Miao*) na nocleg przeznaczył. To miasto jest dość wielkie, i może liczyć 85 do 90,000 mieszkańców; jego mury w dobrym są stanie, z cztérema pięknémi bramami do miasta prowadzącemi. Wały mają najmniéj 30 stóp grubości: dział nie widzieliśmy wcale. Ulice są brukowane ale wązkie; domy murowane jednopiętrowe i niskie, gdzie niegdzie są sklepy z rozmaitemi towarami.

2.

Hoi-thum.— Ti-si.— Sposób podróżowania w tym Kraju.— Łuki tryumfalne.—Thung-ung.—Husz-fon.—Bałwochwalstwo.— Wewnętrzne urządzenie miast.— Kommunikacje.— Handel.— Zakłady naukowe.—

Wyruszyliśmy z *Lock-hoy* o 11 godzinie z rana, idąc blisko przez mil 18 wprost na

północ; wieczorem o godzinie 5 stanęliśmy w mieście *Hoi-thun*. Chcieliśmy złożyć nasze uszanowanie pierwszemu mandarynowi, ale wyjechał był na wieś. *Hoi-thun* jest także otoczone murem, zdaje się być wielkiém i ludném; domy ma z murów, ulice brukowane, ale wązkie. Na wschód miasta jest wielkie jezioro zarośnięte rogoziną, które prawie pod same mury podchodzi.

Nazajutrz nocowaliśmy w *Ti-si*, mieście w stronie północno-wschodniéj od *Hoi-thun* leżącém. W tym dniu przewoziliśmy się promem przez rzekę i przechodziliśmy przez pięć miast lub wiosek: wszystkie okolice któreśmy przebyli, były w najwyższym stopniu uprawy i bardzo zaludnione. Po drodze spotkáliśmy kilka palankinów i taczek: te ostatnie są bardzo dogodnie urządzone i służą niższéj klassie do podróżowania. Palankiny wyrobione z bambusu są przestrone i lekkie. Używają do ich dźwigania, dwóch, cztérech, sześciu, lub ośmiu ludzi, stosownie do stopnia osoby podróżującéj.— Dnia 5 wyszliśmy z *Ti-si* dalszą drogą na północ ku wschodowi, okolicą równie jak poprzednie, zabudowaną i uprawną, obfitującą nadto w drzewa kokosowe, i zasadzone regularnie, tak że zdawało się iż widzimy przed sobą ogrody europejskie. Głównym płodem téj-oko-

licy jest ryż czerwony, inaczéj górzystym zwany, inne płody są: Yams, słodkie kartofle i wiele innych rodzajów warzywa nieznanego w Europie. Spotykaliśmy tu dość często łuki tryumfalne i inne tego rodzaju pomniki, stawiane na cześć i pamiątkę osób zasłużonych, tak mężczyzn jak kobiét, których cnoty lub inne przymioty na publiczne uwielbienie zasługiwały. Stawiane są dla 5 klas ludzi, jako to:— 1) dla tych co stu lat dożyli; chińczykowie bowiem są jak najmocniéj przekonani, że tylko przy cnotliwém i skromném życiu, tak późnéj starości doczekać się można.— 2) Dla dzieci, które dały odznaczające się dowody miłości i poświęcenia dla rodziców.— 3) Dla kobiét celujących przykładną skromnością.— 4) Dla mandarynów, którzy w powierzonych im obwodach odznaczyli się ścisłą sprawiedliwością, a przytém miłość i poszanowanie ludu zjednać sobie umieli.— 5) Dla ludzi, którzy przez szczególne zasługi i poświęcenia się dla ogółu, sławnymi się stali.

Pewnego razu przechodziliśmy obok cmentarza okrytego nagrobkami, usypanemi w porządnym szyku, co w pewnéj odległości szczególniéj w oczy uderzało, albowiem wysokość i obwód kopca nagrobkowego, zastosowane były do stopnia nieboszczyka.

W ciągu dalszéj drogi przebyliśmy dnia tego dwa miasta znacznéj rozległości i dwanaście wiosek. Już przy zachodzie słońca, przybyliśmy do miasta *Thung-ung*, (odbywszy 33 mil ang. drogi), gdzie nas zwyczajnym sposobem w jednéj z świątyń (Miao) pomieszczono. Mury, którymi to miasto jest obwiedzione, nie są wysokie, ale w dobrym utrzymane stanie; ulice są proste i brukowane. *Thung-ung* liczy 10 do 12,000 domów w sposobie chińskim budowanych. Targi zapełnione były obfitą żywnością. W ogólności znajdowaliśmy w ciągu całéj drogi domy gościnne, nie tylko po miastach, ale i na prowincji w pewnéj od siebie odległości, stawiane tak, że każdy z podróżujących byle miał za co, mógł wygodnie odbywać drogę. Wszędzie znajdują się do najęcia, konie wierzchowe, palankiny i kary czyli taczki. Dziś, szliśmy drogą znacznie lepszą od poprzedzających, do jazdy jednak wozowéj nieusposobioną; jakoż w ciągu całéj wędrówki, ani jednego nie zdarzyło nam się widzieć powozu.— Kary a raczéj taczki o których namieniliśmy, są popychane przez ludzi i robią zwykle 2 i pół mil ang. na godzinę: jest na nich siedzenie z desek na 4 stopy długie i 2 stopy szerokie, z poręczą od przodu, na któréj siedzący opiérać się może.

O godzinie 6 rano pożegnaliśmy się z gubernatorem i wyszliśmy z miasta przy odgłosie bębna i piszczałki, co wszystkich mieszkańców zwabiło, tak dalece, iż tylko z trudnością największą wśród tłoku przechodziliśmy. Nieco po godzinie 7, przybyliśmy do rzeki, gdzie zabrawszy się na statek, płynęliśmy na północ ku wschodowi. Rzeka nie jest ani széroką ani głęboką; największa jéj szerokość nie przechodziła pół mili angielskiéj. Nadbrzeża téj wody były wszędzie piasczyste, pola jednak odznaczały się najpiękniéjszą uprawą, oraz regularnym podziałem, to przez żywo-płoty, to za pomocą rowów, zupełnie tak jak w Anglji.

Dnia 7 Grudnia przybywszy o świcie do lądu, opuściliśmy statek niedaleko *Huszfohn*, którego mury i wieże wspaniały widok w odległości przedstawiały. O godzinie 7 weszliśmy do miasta bramą południową. Było to jedno z największych miast, na któreśmy w ciągu podróży natrafili; mur otaczający je miał 40 stóp wysokości, był stawiany z kamieni kwadratowych, oraz z cegły, i w dobrym utrzymywano go stanie. Bramy stawiane były i sklepione bar dzo gustownie, a na każdéj znajdowała się strażnica o dwóch piętrach. Ulice brukowane i szerokie; na rynkach było żywności podostatkiem.

W *Husz-fohn* byliśmy zmuszeni zatrzymać się nieco dłużéj z powodu, że dla rozbójników morskich trudno było przeprawić się przez cieśninę. Okolice tego miasta, są istnym ogrodem, ale można powiedzieć, że aż do zbytku są zaludnione. Z wałów miasta patrząc przez dobrą perspektywę, naliczyliśmy jedénaście miast i wiosek, otaczających w niewielkiéj odległości *Husz-fohn.* Znaleźliśmy tu dużo sklepów z rozmaitymi towarami, między którymi wyroby z łupiny owocu kokosowego, szczególniéj się odznaczały. Chińczykowie robią z niéj filiżanki, kubki i t. p. przedmioty, i oprawiają je w srebro. Religja *Hainanów* jest grubém bałwochwalstwem: mają niezliczone mnóstwo bożyszczów, ale obok tego dość dobre wyobrażenia o najwyższéj istocie. Nie bronili nam znajdować się na uroczystościach świątecznych i na nabożeństwach swoich, oraz kosztować potraw które w ofierze swym bożyszczom przynosili. Zdarzyło się przypadkiem, iż proch któryśmy z sobą mieli, zapalił się w *Miao* gdzieśmy mieszkali, przy czém tylna część jednego posągu uszkodzoną została; mieszkańcy nietylko nie gniewali się o to, ale widząc nasz kłopot śmieli się z nas głośno.— Nigdy nie mają zwyczaju wyjeżdżać w drogę, nie przekonawszy się wprzódy że dzień który na to

obiérają nie jest *feralnym.* W takim przypadku, przywołują Kapłana, który przynosi z sobą kilka kawałków czworobocznych czyli kostek z bambusu wyrobionych, i opatrzonych napisami; rzuca je w worek, mięsza i w powietrze ciska. Te charaktery, które się znajdują na zwierzchniéj stronie upadniętéj kostki, porównywa z cyframi w książce zapisanemi i dopiéro wroży.

Miasto *Husz-fohn* biorąc z przedmieściami, ma najmniéj 200,000 mieszkańców, którzy, sądząc z ich wesołego humoru, muszą być nader szczęśliwi. Niższa klassa ludu lepiéj się nosi co do ubioru, jak w Anglji, a żebraka nigdzie dostrzedz nie można. Policja jest tu czynna: skoro o godzinie 8 wieczorem dadzą znak przez wystrzał z działa, zamykają się natychmiast wszystkie bramy miasta, podobnież bramy ulic pojedynczych, i patrole chodzą przez noc całą. Do świtu przerwana jest komunikacja między ulicami, a mianowicie do chwili w któréj wystrzał ostrzega, że bramy otwarte być mogą. Kłótni i sporów ustnych nie słychać w tém mieście: wszystkie ugody i inne towarzyskie stosunki między mieszkańcami załatwiają się z największą spokojnością i grzecznością; ceny towarów wszystkich są stałe, tak dalece: że najczęściéj, a mianowicie co do artykułów żywności, przedający

z kupującym słowa jednego nie mówi; piérwszy kładzie milcząc pieniądze, drugi wydaje mu żądany przedmiot ust nieotworzywszy. Między artykułami żywności na sprzedaż wystawionemi, uważaliśmy także ślimaki żaby i węże. Tę ostatnie należące do celniéjszych przysmaczkow, zdawały się nam być z rodzaju węża wodnego *Coluber aquaticus* zwanego. Przynoszono je żywe jak u nas ryby, w wielkich cebrach wodą nalanych. Zasuszone z nich skóry przedają w proszku jako lekarstwo od rozmaitych choròb pomocne.

Znaleźliśmy tu kilka bibljotek, z których niektóre miały znaczne zbiory książek nieoprawnych, ale zwyczajem chińskim tylko w grzbiecie zszytych. Odwiedziłem także tamtejszą Akademją, czyli szkołę. Jest to gmach obszerny, murem obwiedziony, łączący w sobie rozmaite budowle gospodarskie, ogrody, łaźnie i t. p.

Krajowcy lubią się zabawiać tak przez nich zwanemi, *śpiewającemi strzałami*. Są to strzały 5 stóp długie, mające na końcu umocowaną kulę przedziurawioną. Jm więcéj razem strzał puszczają w górę, tym rozmaitszy wydają one dźwięk z siebie, który przy wznoszeniu się strzały wątleje co raz więcéj, a z jéj spadaniem pomnaża się znowu stopniowo.

Niedaleko od *Hosz-fohn* jest wielka *Miao*, a w niéj posąg postaci niewieściéj nadzwyczajnie wielki i cały pozłacany. Naliczyłem przy nim 54 rąk, z których każda jakieś symbolum trzymała, jako to: rękę, ucho, oko i t. p. W bliskości tego *Miao*, jest dwunastokątna pogoda, mogąca mieć 130 stóp wysokości, a 12 do 14 stóp średnicy. Jéj mury mają 6 stop grubości; wewnątrz są schody kamienne w formie szlimaka, do saméj góry wiodące, gdzie niewięcéj jak na jednę osobę zostawiono miéjsca.

3.

Wicekról *Hainański* życzy sobie patrzyć przez perspektywę.— *Haui-hau*—Handel.—Rozbójnicy morscy.—Zaślubiny córki Wicekróla.— Walka między Hainańczykami i Anglikami.—Bezstronność w wymiarze sprawiedliwości. — Odjazd z *Hainan*.— Pożegnanie z mieszkańcami.

Wicekról *Hainanu*, mieszkający w *Haui-hau* nie więcéj jak 3 lub 4 mile ang. od Husz-fon, dowiedział się o méj perspektywie, przysłał więc do mnie posłańca, z prośbą abym go odwiedził i przyniosł z sobą to narzędzie, ponieważ życzył sobie z jéj pomocą przypatrzyć się flocie rozbójników morskich.—Stosownie do tego wezwania, udałem się do *Haui-hau*, w towarzystwie naszego Chińczyka A-r o n g zwanego, i z jednym żołnierzem. Droga była wyborna, wykładana od jednego miasta do drugiego kwadratowym kamieniem. Gdym przybył

na miéjsce, zaprowadzono mnie natychmiast do pałacu Vicekróla, którego zastałem właśnie przy stole w gronie licznego towarzystwa wino spijającego. Czynił mi dość dziwne pytania o użytku perspektywy, jak n.p. co by też przez nią na Xiężycu widzieć można było? kazał nakoniec służącemu aby mi podał wina.

Bywając często w *Haui-hau*, przypatrzyłem się dobrze temu miastu. Zbudowane jest na długim wązkim półwyspie, oblanym rzekami w stronach wschodniéj i zachodniéj, a na północ wielkiém i głękokiém jeziorem którego jednak połowa, w czasie upałów wysycha. W niektórych odległéjszych krańcach tego cyplu, i na publiskich wysepkach, pozakładane są warownie. Do domu celnego, wielkiego i obszernego gmachu, prowadzi grobla dość długa, daleko w jezioro się rozciągająca. Miasto same niewiele jest większe od *Husz-john*, lubo znacznie dawniéjsze; podobnież mury jego nie są ani tak wysokie ani tak dobrze utrzymane, jak tamtego.— Niektóre ulice w *Haui-hau*, są długie 1½ mili angielskiéj, dość szerokie, ochędożnie utrzymywane, i kwadratowym brukowane kamieniem. Podczas upałów rozbijają pewien rodzaj różno-farbnych namiotów, przez co chłód utrzymuje się po ulicach. Widziałem tu wiele dwupiętrowych

domów, a mianowicie nad rzeką położonych. Ludność miasta nadzwyczajnie jest wielka, targi zaopatrzone w dostateczną żywność. *Haui Hau*, jest głównem miastem handlowém na téj wyspie; wyprowadzają z niéj cukier, orzechy i oléj kokosowy, sól i skóry wyprawne; wprowadzają zaś wszelkie wyroby chińskie, materje bawełniane i futra, cienkie sukna angielskie, skałki i opium, które w Chinach zakupują.—W czasie pobytu naszego ucierpiał nie mało handel z powodu rozbójników morskich, których mieszkańcy obawiają się mocno, albowiem nie przestają oni na samym rabunku statków i towarów, ale wysiadają często na ląd, napadają wsie i miasta, ładniéjsze kobiéty uprowadzają z sobą. Mówią, że ci rozbójnicy, są wychodniemi z *Tonquinu* i z *Kochinchiny*, którzy z powodu wojny domowéj, podbiciem téj krainy w roku 1802 zakończonéj, z ojczyzny swéj oddalić się byli zmuszeni. Zdawało się wtenczas gdy byłem w *Hainan*, że byli panami i postrachem na przyległych wodach. Flota, z obawy któréj niechciano nas rozbitków przewieść przez ciaśninę, (daleko szerszą jak jest na mappach) składała się z 370 mniéjszych lub większych statków i krążyła bez przestannie czatując na chińskie *Dszunki* do tego portu żeglujące.

W czasie pobytu naszego w tém miéjscu, odbył się obrzęd zaślubin xiężniczki *Hainanu* córki Wice-króla. Oblubieńców niesiono na pięknych palankinach, w assystencji mandarynów oraz wojska pieszego i konnego. Xiężniczka nie miała więcéj nad lat 17, a najwięcéj 18, była bardzo ładna, biała, tylko nieco otyła. Ubior jéj był świetny i bogaty; mnóstwo kobiét poprzedzało ją także na palankinach. Cesarska chorągiew powiewała na wałach, i przez cały dzień z dział ognia dawano. U Wice-króla była wielka uczta, a wieczorem pyszny fajerwerk spalono.

O bezstronności z jaką tu sprawiedliwość jest wymierzana, da przekonanie następujący wypadek, który się w *Husz-fon* przytrafił. Kilku majtków podchmieliwszy sobie grzaną wódką ryżową, *Samsu* zwaną, zaczęli się bić na placu przed *Miao*, gdzie zaraz mnóstwo ciekawych mieszkańców dla przypatrywania się nadeszło.— Pan Bradlej dowódzca naszych majtków, chcąc usunąć natrętnych widzów, został przez jednego z nich uderzony i na kułaki wyzwany. Przyjął on wyzwanie i nim 20 minut upłynęło, zwalczył *Hainanczyka*, porządnie go wytrzepawszy.— Pomimo widocznéj przewagi P. Bradlej, nikt się z obecnych za *Hainańczykiem* nie ujął i

do kłótni nie wmieszał. Tymczasem nadeszło dwóch mandarynów z pachołkami, i zaraz na mièjscu rozpoczęli śledztwo téj kłótni; przekonawszy się z licznych zeznań obecnych, że *Hainanczyk* piérwszy uderzył i jeszcze oprócz tego sam wyzwał Anglika, kazali winnego zaraz na miéjscu położyć: cztérech pachołków trzymało go za ręce i nogi, a jeden 20 plag mu odliczył. Potém zamknięto go do kandsza, czyli gąsiora z dwóch desek zrobionego nad którym przylepiono kartkę z napisem, za co ukarany został.— Gdy Hainańczyk już odniósł swą karę, przystąpili mandarynowie z wielką powagą do badania majtków, którzy kłótnię wszczęli, i po dopełnionéj indagacji, winnym po 12 plag tym samym sposobem wyliczyć kazali. Jeden z majtków (Jndjanin rodem z *Madras*) wołał za każdą plagą: *tszin-tszin*, *Mandarin! tszin-tszin*, *Mandarin!* co wszystkich obecnych do śmiechu pobudzało, a nawet Mandarynowie, pomimo całéj swéj powagi, nie mogli wstrzymać się od śmiéchu. Po dopełnionéj exekucji, powiedzieli nam, iż w razie gdybyśmy i my okazali się winnymi, każdego z nas spotkałaby taka sama kara, bez względu na stopień lub dostojność osoby, bo prawo jest wyższe nad wszystko. Gdy w ciągu dalszego pobytu naszego w *Hus*-

fon, niesforność majtków stawała się coraz większa, kazał Gubernator odebrać nam strzelby, przez co byliśmy pozbawieni jedynéj zabawy, to jest, polowania, co dalszy nasz pobyt niezmiernie przykrym czyniło.

Przybyła nareszcie flota chińska pod dowództwem admirała, który konwojował statki kupieckie do *Huni-han;* tak tedy, skończyła się niewola nasza, bo zaraz po przybyciu floty rozkazano nam wsiąść na pięć *dszunkow*, gdzie mieściliśmy się wspólnie z kilkoma kochinchińskimi rozbójnikami morskimi, których wieziono do *Kantonu*, gdzie śmiercią karani być mieli.

Oddalającym się z *Husz-fon*, okazali mieszkańcy tyle przychylności jak w *Man-tszao*. Uważaliśmy, że nasz odjazd zasmucał ich a szczególniéj kobiéty, które żegnając nas wołały: — „już podobno na tym świecie, niezobaczemy się więcéj."

4.

Przybycie do Chin. — Lock-un. — Hotszun. — Hoi-hun. — Sui-hi. — Handel kobiétami. — Domy spoczynku. — Słupy milowe. — Suk-sung. — Sun-nong. — Austerje. — Fat-szenon. — Nam-szing. — Kau-the-au.

Za danym znakiem z okrętu Kommodora, wyszła flota pod żagle dnia 15, w kierunku na wschód, płynąc z wodą rzeki, niemającéj nad dwa pręty głębokości. Był to

piękny widok, bo flota rozciągała się blisko na mil kilka (angielsk.) Okręt Kommodora płynął na czele, strzelając czasami na znak trzymania się porządku, który bez zaprzeczenia zachowano jak najdoskonaléj.— Niezadługo ujrzeliśmy wybrzeża Chin, niskie i piasczyste. Flota zawinęła do przystani *Lut-szeu-van*, bronionéj przez małą ale kształtną warownię. Zaledwie rzucono kotwice, wysłano natychmiast płytkie czółna po towary, jakoto: cukier, sól i skóry wyprawne. Wysiadłem na ląd i udałem się do miasta wraz z mymi towarzyszami, zkąd, posiliwszy się, wyruszyliśmy w liczbie 55 osób, mieszcząc w to kochinchińskich więźni, którzy okuci w kajdany. znajdowali się w klatkach bambusowych. Postępowaliśmy w kierunku północno-wschodnim: kraina była równa, ziemia czerwono-gliniasta; wszędzie ukazywały się najstarowniéjsze budynki, a drogi były najpiękniéjsze, obsadzone z obu stron drzewami.

Udaliśmy się przez *Hoi-on* do *Lock-un*. Kraj ten podobny jak tamten wystawiał widok. Cukrowa trzcina zdaje się być tu główną rośliną. Nazajutrz w dalszą postąpiwszy drogę, ujrzeliśmy gościniec idący przez pole gęste zasiane ryżem. Przestrzeń ta, zaledwie okiem doścignięta być mogła. Gościniec budowany z wielkich ciosowych ka-

mieni, wzniesiony był na stop cztéry nad ziemię, i tak szeroki, iż wozy przechodziły po nim z łatwością. Zatrzymaliśmy się w *Ho-tszun*. To miasto leży nad rzeką tego samego nazwiska; zdaje się być dostatnie i ludne, oraz prowadzące handel, a przynajmniéj tak domyślamy się, ze statków w porcie na kotwicach stojących. Ulice, niektóre przeszło na milę angielską długie, były szérokie, i utrzymywane porządnie. Spostrzegliśmy tam znaczną ilość wielkich kupieckich sklepów, a osobliwie z indyjską wełną. Wśród miasta wznosi się *pagoda*, 200 stóp wysoka.

Dnia 18 przybyliśmy do miasta *Hoi-hun*, i to w kierunku południowo-wschodnim. Droga była równa, i ani jednego wzgórza dojrzéć nie można było. W ciągu całéj drogi, byliśmy celem powszechnéj uwagi. Tłumy ciekawych osób, towarzyszyły nam ciągle. Spostrzegliśmy tu wielką między mieszkańcami Hainan, a Chińczykami różnicę; piérwsi ani tak biali, ani piękni, ani tak dobrze ubrani nie byli.

Gdyśmy nazajutrz niezmierną płaszczyznę blisko na 20 mil (ang.) długą przebyli, inny zupełnie przedstawił nam się widok. Ujrzeliśmy już małe wzgórza podzielone na drobne ogrody i łany: wszelako grunt zawsze się być wydawał kamienisty,

i nie tak dobrze uprawny, jak poprzedni. Wstąpiliśmy do niewielkiego miasteczka *Sui-hi*. Miéjsce to sławne jest handlem kobiét. Sprowadzają tu z różnych stron państwa dorodne dziewice. Posiadają one rozliczne talenta, a szczególniéj znają muzykę, śpiew, i tańce. Uczą ich także sztuki podobania się mężczyznom i zalotnego serc ich zjednania. Trudna ta sztuka wiele popłaca w Chinach.

Dnia 21 opuściliśmy *Sui-hi*, udając się w północno-zachodnim kierunku, pośrodkiem zielonéj i pięknéj doliny, któréj grunt składał się z jakowegoś brunatnego piasku; droga była szeroka, w równych zaś oddziałach, okazywały się gustowne cesarskie pałace. Są to budynki wygodne stawiane kosztem monarchy, dla dogodności podróżujących urzędników cesarskich. W oddaleniu poznać je można po trzech piramidach białych. Odległości ich są równe; oznaczają je zabite w ziemię i na stóp 7 wysokie słupy, z tablicami mającemi napisy chińskie, zawierające odległości od miast główniéjszych. Co ośm *Li*, (3 mile angielsk.) stoją małe *koszary drogowe*, a na nich chorągwie.— Tegoż dnia, przybyliśmy do *Suk-sung*, gdzie z rozkazu Mandaryna, umieszczono nas w jedném Miao. To miasto liczy blisko 70,000 ludności, leży przy schył-

ku pasma gór perskich, i zawiera między murami grupy sosen i ogrody.— Ulice są wprawdzie wązkie, lecz czyste i prawie wszystkie brukowane, a zaś dla utrzymania chłodu w czasie upału słońca, namiotowém ozdobione pokryciem. Na rynku znajdowało się dość ryb, owoców, i innych pokarmów. Ta prowincja znakomita jest z obfitéj produkcji cukru i pewnego gatunku oleju z orzechów *betel* zwanych; oléj ten służy tamecznym mieszkańcom za napój codzienny, oraz do innego użycia. Orzechy *betel* zbliżają się w podobieństwie kształtu i smaku do orzecha laskowego. Przedają je w paczkach trzyuncjowych z których każda kosztuje jednę Sapekę.

Gubernator właśnie ztąd był wyjechał, zaprowadzono nas przeto do jego zastępcy. Był to nader przyjemny i rostropny człowiek. Gubernator bywa zwyczajnie obiérany z grona uczonych *Mandarynów*: powinien posiadać dokładnie znajomość chińskiéj literatury. Jego zastępca był oficerem i dowódzcą załogi miasta. Zaprosił mnie wraz z towarzyszami na obiad, który rozpoczął się o godzinie 3, i składał z wołowiny, wieprzowiny, drobiu i jarzyn, co wszystko dosyć smacznie przyrządzone było. Użycie przez nas widelców zdziwiło

gospodarza i jego żony, z których jedna kazała nam niebawnie podać łyżki.

Wyruszywszy nazajutrz, jechaliśmy urodzajną i załudnioną doliną, pomiędzy dwoma pasmami gór, oddalonych od siebie o dwie albo trzy mile angielskie; przybyliśmy nakoniec do *Sun-nung*, znakomitego miasta, o ile z jego ludności wnosić można było. Mnóstwo tam było domów gościnnych. Wstąpiłem do jednego z nich, mającego stop 300 długości. Był tylko jednopiętrowy; z obu stron stały wzdłuż ozdobne stoły i ławy na dwa rzędy; ciepłe kąpiele znajdowały się od tyłu. Kąpieli tych, używają wszyscy wędrownicy piesi lecz tylko do moczenia nóg. Są one nader orzeźwiające. We wszystkich gospodach są ludzie mający w pogotowiu gorącą wodę, którzy po obmyciu nóg podróżnego, nacierają je przez kilka minut suchą solą. W takich oberżach, dostanie gotowanego mięsa wołowego, wieprzowiny i drobiu, które w małych przedają kawałkach. Oddzielny chłopiec spisuje co kto spożywa, i ułożony ztąd rachunek na zawołanie przynosi. Cena bywa pospolicie dosyć umiarkowana, wyjąwszy zupy, zwykle sporządzane wybornie. Gospoda do któréj wszedłem, napełniona była mnóstwem osób. Gdy nam przyniesiono rachunek, uważał jeden z znaj-

dujących się Chińczykow, iż chłopiec korzystając z bytności cudzoziemców, przesadził miéjscową cenę; dla tego poszedł do gospodarza i rozmówił się z nim dość żywo, niedozwalając nam więcéj zapłacić jak się należało.

Dnia 24 udaliśmy się w kierunku północno-wschodnim. Okolica była górzysta, droga dobra, a dolina ryżem zasiana dobrze uprawiona. Po drodze widzieliśmy mnóstwo złotych i srebrnych bażantów. Handel zdaje się tu być znaczny, znajdowało się bowiem mnóstwo kupieckich wozów napełnionych towarami. Po ujechaniu 18 mil ang. drogi, zbliżyliśmy się do miasta *Fattszen-on*, gdzie staliśmy się celem powszechnéj uwagi. Tłumy ciekawych ludzi aż do uprzykrzenia koło nas krążyły. Starodawne to miasto leży na schyłku góry; jego mury, niemal wszystkie nadpsute, mają rozciągłości mil pięć. Ulice są czyste, brukowane twardym na 18 calowe kwadraty rzniętym kamieniem, i z góry dla chłodu, rożno-farbném namiotowém opatrzone pokryciem.

Nazajutrz popłynęliśmy spławną rzeką *Sui-fau-min*, romantyczną i prawdziwie malarską okolicą, dobrze zabudowaną i małemi urozmaiconą strumieniami. Widzieliśmy ze wszech stron budynki wiejskie

z obszernemi w tyle ogrodami, będące własnością ludzi majętnych i pola pszenicą zasiane. Przybywszy do miasta *Nam-szing*, przepędziliśmy noc w domu cesarskim, zwanym pospolicie *domem spoczynku*, w którym pokojowe ściany wybite były matami. Budynek był tak obszerny iż gdyby nas było i 50 osób, każdy osobny pokój znalazłby dla siebie. Miasto *Nam - szing* liczy 75,000 ludności.

Udaliśmy się ztamtąd, naprzód o mil 20 do *Kau-the-au*. Ukazały się nam w oddaleniu wysokie góry. Nizina była zasiana pszenicą, ryżem, tabaką, słodkiemi kartoflami i rzepą, Umieszczono nas w obszernym domu spoczynku, mającym łaźnie, ogród i wszelkie inne wygody. Miasto leży na zachodnim brzegu wielkiéj spławnéj rzeki. Mieszkańców ma do 80,000 licząc w to i przedmieścia nieco oddalone. Mury są na 30 stop wysokie, strzelnice większe od zwyczajnych, lecz działa równie zaniedbane jak wszędzie. Gdyby nieprzyjaciel wkroczył do kraju chińskiego, nie można wątpić iżby go łatwo mógł opanować; coby w 10,000 wojska uskutecznić można, byle własność i swobody i spokojnych mieszkańców szanować umiano.

5.

Ti-si.— Fuj-hong.— Źródło gorące.— Tim-pok.— Bożyszcza.— Thi-pong.— Tszuk-lone.— Jung-lone.— Sung-tung.— Sza-ki-kau.—Sam-sui.— Si-nam.— Fa-con.— Przybycie do Kantonu.

Dnia 27 wyruszyliśmy w kierunku północno-wschodnim do miasta *Ti-si*, przez górę którėj grunt był z jakiegoś czerwonego kamienia. Wstąpiwszy także do domu spoczynku, znaleźliśmy oficerów chińskich, którzy przez całą noc grali w karty. Nazajutrz jechaliśmy w kierunku południowo-wschodnim, i przebywszy dwie rzeki, stanęliśmy w mieście *Fuj-hong*, gdzie również znaleźliśmy mieszkanie w domu spoczynkowym. Przy rzekach uważaliśmy dwa kółka wodne, za pomocą których skrapiano wodą przyległe, a nawet nieco odleglėjsze okolice przez urządzone wodociągi. Koła te z drzewa bambusowego, mogły mieć średnicy 12 do 14 stóp.

Nazajutrz znaleźliśmy zrazu drogę piaszczystą, nierówną i niedogodną; późniėj jednakże równą i jak najlepiėj ubitą. Ukazało się nam ku stronie lewėj pasmo gór dzikich, z pomiędzy których w małych strumieniach czysta sączyła się woda. Jeden z nich płynął środkiem drogi, woda zaś w nim tak była gorąca, iż nie długo w niėj palec utrzymać można było. Ujrzeliśmy po

drodze kilka miasteczek i wiosek, otoczonych bambusowemi lasami. Za przybyciem do *Timpok* zaprowadzono nas do *Miao* (świątyni) w któréj znajdowało się przeszło 80 wyobrażeń bożyszcz, w najdziwaczniéjszych kształtach. Jedne wyobrażone były płaczące, inne opiłe; jedne wyciągnięte były na ziemi, inne śmiejące się z tego wszystkiego. Niektóre miały głowy słoniów, psów i małp, drugie zupełnie bez głów były. Za drzwiami świątyń widać było komiczną gruppę: biały koń naturalnéj wielkości stał osiodłany, pod jego zaś brzuchem leżał opiły jeździec. Po drugiéj stronie, między tylnemi nogami konia, na prost ogona znajdował się jeźdzca towarzysz lub sługa.

Tim-pok znaczny prowadzi handel: leży nad morskiém wybrzeżem i ma dwa dobre porty wewnętrzny i zewnętrzny. Około zewnętrznego leży mnóstwo wysepek, w obu zaś znajdowało się wiele *Dżunków*, z znacznym ładunkiem; wysyłają ztąd do *Kantonu* i *Macao* sól w znacznéj ilości. Mury miasta mające w czworoboku 4 angielskie mile, i w dobrym będące stanie, mają 35 stóp wysokości. Działa w zupełném są zaniedbaniu. Bramy są nader mocne; przyboczne im mury podwójne, a drzwi bramowe opatrzone są żelaznemi blachami.

Dnia 30 Stycznia wyruszyliśmy daléj w

kierunku północno-wschodnim, okolicą w części równą, w części górzystą, pomiędzy dwiema górami. Noc przepędziliśmy w domu spoczynku, oddalonym o mil ang. 22 od *Tim-pok*, a największym ze wszystkich jakieśmy dotąd widzieli. Z łatwością a nawet zupełną wygodą pomieścićby mógł w sobie 800 ludzi. Nazajutrz udaliśmy się w tymże kierunku przez dość obszerną równinę. Rzadko widzieliśmy gdzie drzewo. W braku jego używają tutejsi mieszkańcy do opału słomy, siana i gnoju krowiego. Przeprawiwszy się przez trzy rzeki, wjechaliśmy do miasta *Thi-pong*, odległego o mil 27, które opuściwszy nazajutrz, przybyliśmy do miasta *Tszuch-lone*, leżącego przy brzegu spławnéj rzeki, nawet dla statków większych. Przeprawiając się przez nią, osiedliśmy na piasku, i tam przymuszeni byliśmy spędzić noc całą. Nazajutrz po blisko 20 milowéj żegludze, przybyliśmy do miasta *Jung-lone*, gdzie nas równie w świątyni (*Miao*) umieszczono. Obudziliśmy tu jeszcze większą ciekawość niżli poprzednio. Tłumy rozmaitego ludu towarzyszyły nam aż do wieczora.

Miasto to leży przy brzegu pięknéj i spławnéj rzeki. Mury w złym się znajdują stanie, ale 30 stóp wysokie a od 18 do 20 grube. Ulice są wązkie, a domy złe i ni-

skie. Na rynkach mnóstwo było żywności, a szczególniéj ryb. Okrążająca miasto nizina nader iest żyzna: po południu (4 lutego) przepędziliśmy noc na statku. Nazajutrz sami musieliśmy go ciągnąć, bo przewoźnicy żadnéj nie chcieli nam dać pomocy. Na polach po obu stronach rzeki szczególniéj się rodzi pszenica. Zasiane nią były pola przynajmniéj na 90 ang. morgów. Noc drugą przebyliśmy równie na wodzie, na przeciwko miasta *Jung-tszeu*, do któregośmy nazajutrz wylądowali: zaprowadzono nas znowu do *Miao*. *Jung-tszeu* leży w pośród niziny, nad samém wybrzeżem bardzo głębokiéj i szerokiéj rzeki. Domy będące za murami miasta, nie bardzo powabny wystawiają widok. Przedmieścia są rozległe.

Dnia 7 płynęliśmy daléj, statek ciągnęły kobiéty. W ciągu dnia przebyliśmy około wielkiéj wapiennéj skały, mogącéj miéć od 180 do 200 stóp wysokości. Była ona nader spadzista i jakby jednym zamachem od góry do dołu przecięta, nie mając żadnéj z okolicznemi wzgórzami łączności. W nocy przymocowano statek do jednego jéj ułomka. Noc była pogodna i przyjemna. Nazajutrz przebyliśmy rzekę nader płytką i pełną piaszczystych zasepów. Pola z obu stron zasiane były pszenicą i jęczmieniem, przy-

tém urozmaicone licznemi krzewami, owocowemi drzewami i t. p. Dnia następnego zarzuciliśmy kotwicę naprzeciw znacznego miasta, *Thei-von*, gdzie wylądowawszy nazajutrz, lądem dalszą już prowadziliśmy drogę. Pierwszego dnia dalszéj podróży, przebyliśmy przez cztéry wielkie miasta. W jedném z nich było 20 stawów rybnych, mających po 30 stóp kwadratowych i otoczonych drzewami. Widzieliśmy także pięć mostów, z których trzy były kamienne na arkadach, zbudowane zupełnie w sposobie europejskim. Dom spoczynku, do któregośmy się udali, w zachwycającém znajdował się położeniu, pośród obszernéj zielonéj łąki, otoczonéj zewsząd nieścigłemi okiem górami. Srodkiem płynęła czysta woda, za pomocą rur bambusowych sprowadzana do pokojów domu, gdzie iéj używano do kąpieli, napoju i kuchni.

D. 10 o godzinie 4 rano przy blasku xiężyca rozpoczęliśmy dalszą naszą podróż, i przez wysoką oraz spadzistą górę, przybyliśmy do miasta *Sun-hung*, gdzieśmy stanęli w domu, przeznaczonym dawniéj na pomieszczenie wyższéj szkoły. Dnia następnego udaliśmy się przez pole zasiane ryżem, a potem od wybrzeża strumienia, do *Sha-hi-hau*, o mil 29 ang. od *Snoghung*. Tutaj wiele Dżunków, (stat-

ków;) ładowano drzewem sosnowém na wielki jarmark w Kantonie. D. 12 spotkaliśmy naszego dawnego, przyjaciela hajnanejskiego szermierza. Zdawał on się niezmiernie być uradowanym z naszego widzenia i częstował nas napojem *Scheu-thau*, albo jak zowią inaczéj *Sain-su*. Przebywszy potém przez miast cztery i dwa mosty, przyjechaliśmy do *Su-hung*, wielkiego miasta; przebycie samych przedmieść zabrało nam przeszło godzinę czasu. Miasto jest nader ludne, na rzece zaś mnóstwo znajdowało się statków. Warownie do tych podobne były, jakieśmy już widzieli. Domy w tém mieście są kamienne i pospolicie o dwóch piętrach. W pobliskości stało ośm wysokich pagod. Mieszkaliśmy w domu gdzie dawniéj musiała być drukarnia; przynajmniéj tak można było wnosić z porozrzucanych drewnianych głosek.

Nazajutrz przebyliśmy prawie 40 angielskich mil drogi, rzeką głęboką i znacznie szeroką w okolicy częścią górzystéj, częścią równéj. Wyładowawszy d. 14, udaliśmy się do miasta *Som-sui*, gdzieśmy niedogodne otrzymali mieszkanie. Miasto to miało postać starożytnego; jedna połowa domów leżała w gruzach, druga nachylała się już do upadku. Jednakże mury na 20 stóp wysokie a 14 szérokie w dobrym zdawały się

być stanie; znajduje się tu skład zboża, co w państwie Chińskiém nie bywa rzadkiém zjawiskiem. Jest on zabudowany w czworogran i ma 350 stóp rozległości.

D. 15 spostrzegłem, iż jeden z kochinchińskich zbrodniarzy, więzionych w bambusowéj klatce życie zakończył. Wypłynęliśmy znowu w kierunku wschodnim. Na rzece mnóstwo postrzedz się dało statków. Przebyliśmy przez Si-nam miasto wielkie i mające 150,000 ludności. Tutaj świadkami byliśmy używanego po całych Chinach zwyczaju. Każdy właściciel domu, musiał na drzwiach wywiesić tablicę wyrażającą liczbę mieszkających w nim osób, co wszystko ogółem przesyłane do Pekinu, stanowi główną zasadę spisu, służącego do rozłożenia na kraj cały opłaty pogłównego. Nazajutrz wyruszyliśmy w dalszą drogę, a to przez dolinę miast i wsi pełną. Na rzece mnóstwo znajdowało się statków i tratew z drzewa sosnowego, z których niektóre miały długości sto yardów. Miasto Ta-cou, do któregośmy następnie przybyli, mieć ma podług tamecznych podań, półtora miljona ludności, wnosząc z rozległości miasta nie zdaje się to żadnéj podlegać wątpliwości, do przebycia go bowiem, w kierunku wschodnio-zachodnim, potrzebowaliśmy dziewięć godzin czasu. — Domy są murowa-

ne, mają pospolicie dwa piętra, i ganki ozdobne kwiatami w doniczkach. Widzieliśmy wiele okien opatrzonych w szyby szklanne, a zupełnie europejski przedstawiał widok odgłos przez pracujących zrządzany rzemieślników, oraz natłok w ulicach ludu, co dostatecznym zdaje się być dowodem znacznego rozgałęzienia i handlowego ruchu. Rzeka pokryta była o kilka mil różnego rodzaju statkami, tak iż dla dwóch tylko zostawione było we środku przejście. Te statki lub raczéj pływające domy porozstawiane są w regularnych odstępach i tak do siebie z przodu i z tyłu przymocowane, iż stanowią niejako ulicę na któréj balwierze, szewcy i inni rzemieślnicy, mają swoje warsztaty. Niektóre statki nader są długie o dwóch lub trzech pokładach; mają znaczną pokoików liczbę, wymalowanych w środku zielono i opatrzonych oknami za szkłem oraz 5 żaluzami. Niemniéj są zewnątrz złocone i ozdobne. Wystawiały się nam najczęściéj jako świątynie Wenery, gdzie przyjmowano przychodniów z odgłosami muzyki, śpiewów i tańca, i gdzie za małe wynagrodzenie dziennie, można znaleść mieszkanie i żywność.

W pół godziny po opuszczeniu wschodniéj strony Tea-çon, ujrzeliśmy angielską banderę powiewającą na angielskiéj fakto-

torji w Kantonie i wylądowaliśmy w godzinę późniéj do francuzkiego Hongu (*) gdzieśmy znaleźli Pana Drummond, który nas jak najmiléj przyjął. W podróży odbytéj do faktorji angielskiéj pół - chińskie nasze odzienie nie mało zwracało na siebie uwagi i śmiechów.

W podróży naszéj mnóstwo nam spotkać dawało się bydła i to w jak najlepszym stanie; konie nie były bardzo rosłe, lecz silne i wiele trudów znoszące. Owce zdawały nam się być tegoż gatunku jak z przylądka dobréj nadziei, nie były jednak tak rozmnożone, osobliwie na południu,

Od wyjazdu naszego z Man - tszao przebyliśmy przez 256 małych miastaczek i wiosek, oraz przez 20 takich miast, które murami były otoczone. To dać może najlepsze wyobrażenie o ludności krajów chińskich, tak jak ludność o swobodach których używają mieszkańcy.

(*) Miéjsca udzielonego wyłącznie na handel francuzki.

IV.

PODRÓŻ DO KORSYKI

przez Pana BENSON.

(*Dokończenie.*)

wyczaje mieszkańców Korsyki.— Małżeństwa.— Obyczaje familijne.— Wychowanie dzieci.— Processja w tygodniu po niedzieli *Rogate*.— Klasztor w Corte.— Anekdota o Paolim.— Odjazd z Corte.— Scisłe pełnienie praw gościnności.

Korsykanie mają wiele szczególnych zwyczajów. Baron Beaumont opowiada, że gdy pewnego wieczora, w towarzystwie krajowca do chaty Korsykanina chciał wstąpić, towarzysz jego wystrzelił z karabinu, aby uwiadomić mieszkańców o przybyciu cudzoziemca. Natychmiast wyszedł z chaty owczarz, również uzbrojony, i piérwéj rozmówił się z Korsykaninem, nim obudwóch do chaty wprowadził.

Żony, których mężowie zamordowani zostali, chowają starannie ich suknie pokrwawione, pokazują je dzieciom dorosłym, i wzywają je do zemsty, dopóki ofiara nie padnie.

Moresca, pewien rodzaj walki, ulubiona Korsykanów zabawa, zwabia mieszkańców ze wszystkich stron wyspy: zaczyna się od pojedynczych wyzywań i szermierstw, a kończy się na powszechnéj bitwie i na porażce téj strony, która wyobraża lud zawojowany.

Na Korsyce nie znają długiego starania

się o rękę panny, a oświadczenie nie wychodzi od pana młodego, Dzień weselny młodych nowożeńców, uważają za wielką uroczystość. Pannę młodę odprowadzają wieczorem do domu pana młodego przy skrzypkach, gitarach i śpiéwach. Nowożeniec, słysząc zaledwie dźwięk muzyki, wychodzi z domu, przyjmuje śród wystrzałów całe grono po przyjacielsku i częstuje miodem, owocami, winem i t. d. Jeśli nowożeńcy tak są starzy, iż się zdaje że się po nich nie można spodziewać potomków, natenczas wyprawiają nowożeńcowi muzykę na łopatach, rogach i rozbitych dzwonkach, co wszystko, jako starożytnym uświęcone zwyczajem, znieść winien cierpliwie i bez urazy.

Korsykanki są prawie niewolnicami swych mężów; mężowie jeżdzą na mułach, żony idą obok nich pieszo; żona zajmuje się uprawą roli, chatę otaczającéj, a mąż pali sobie spokojnie lulkę pod cieniem drzewa kasztanowego, lub tuła się po górach z psem i strzelbą. Wszelako nie obchodzą się z żonami okrutnie; a przykłady niewierności są bardzo rzadkie. Prawie cały majątek ojcowski, spada na synów, a córka idąc za mąż, staje się niewolnicą swego męża. Często dwie rodziny jadają przy jednym stole, i ogrzéwają się przy jednym ogniu.

Jak całe życie Korsykanów tak i wychowanie ich dzieci jest proste. Piérwsze nauki moralne, wyjąwszy niewywieranie zemsty, udzielają im rodzice. Synom, w męzki wiek wstępującym, kupują ojcowie uzbrojenie, lub pożyczają broń własną, przypominając im zarazem, że gdy są mężczyznami i co do siły innym równymi, przy prawach swoich obstawać winni. Nauka ta, bez objaśnień udzielana, była nieraz przyczyną najokropniéjszych skutków, gdy szło o obstawanie przy tém, co w rozumieniu nie jednego było prawém.

Uroczystość religijna w tydzień po *Rogatach*, obchodzona w chwili, gdy wszystkie rośliny kwiatem są okryte, jest na całéj wyspie jedną z najciekawszych: Wszyscy mieszkańcy wychodzą w processji z Kościołów właściwych parafji, męzczyźni i kobiéty idą oddzielnie, xięża w pośrodku, a dzieci za nimi. Processja zatrzymuje się zwykle na wzgórzu, z którego pleban udziela błogosławieństwo, klęczącéj do koła niego na pochyłości wzgórza gminie. Po odmówionéj modlitwie, wraca processja tym samym porządkiem do Kościoła, gdzie xiądz rozdaje pęczki drewnianych krzyżyków, które każdy na roli swojéj zatyka— Swięta patronów obchodzą na wsiach przez modły i wynurzanie najżyczliwszych uczuć.

W dniach takich zwykli się zgromadzać członkowie familji, uważając takie schadzki za obowiązek uświęcony; ktoby się na niéj nie znajdował, byłby uważany za zrzekającego się rodziny i zaszkodziłby swojéj sławie. W dniach takich ułatwiają Korsykanie umowy małżeńskie i inne sprawy domowe, lub rozmawiają o wojnach i wypadkach, jakie się wydarzają na wyspie, lub w gminie, w któréj się zgromadzają.

Przechadzka nasza dnia 11 listopada zmierzała do murów dawnych zburzonego klasztoru, niedaleko Corte, po prawéj stronie drogi, prowadzącéj do Bastji położonego. Tu zwykł był Paoli zwoływać zgromadzenie prawodawcze, w czasie, gdy jeszcze zostawał na czele rządu. Wśród tych murów, jeden z deputowanych, spostrzegłszy wyniesione krzesło do tronu podobne, zapytał był Paolego, jakie ten tron ma przeznaczenie. „Będzie na nim umieszczony posąg wolności —" odpowiedział Paoli.— W tém miejscu zgromadzał się także parlament angielsko-korsykański, w czasie, gdy Korsyka do Anglików należała. Cały ten gmach będzie zapewne obrócony na gimnazjum, stosownie do zapisu Paolego, który chciał, aby był przeznaczony na szkołę dla krajowców. Klasztór i przyległy ogród są własnością barona Mariani. Wi-

dok miasta Corte z ogrodu, jest nadzwyczaj piękny.

W stajni obok tych gmachów będącéj, widzieliśmy owce *Muffoli* zwane, które w górzystych okolicach wyspy dziko żyją. Zamiast wełny, okrywa je pewien rodzaj sierści, do jeleniéj podobnéj; są one nadzwyczaj żywe.

Wyszedłszy z murów klasztornych, udaliśmy się górą wzdłuż biegu rzeki *Tavignano*. Zaledwieby opisać można piękność okolicy, którąśmy zwiedzili w ciągu téj przechadzki. O pół mili angielskiéj od miasta znajdowaliśmy się na urwisku skały, obrosłéj dzikiémi krzakami; słońce oświécało je w całéj okazałości, a tuż obok nich w przepaści, toczyła się rzeka *Tavignano* przez kamienie granitowe, nieustanny szmér wydając. Cień ogromny osłaniał góry po drugiéj stronie położone, a z pośrodka przepaści wznosiła się obszerna skała, na któréj stoi warownia. Wszystko to, niemniéj równiny ciągnące się po prawéj stronie miasta Corte, okryte były cieniem; kilka promieni słonecznych rzucało światło tylko na wieżę zburzonego klasztoru i inne budowle, a w oddaleniu wznosiła się nierównie wyżéj nad miasto *Corte*, ogromna i jasnością słońca okryta góra.

Pożegnawszy się z baronem Mariani i

burmistrzem miasta *Corte*, przysposobiłem dnia 14 listopada, dalszą podróż do *Bastia*. Dla siebie i dla przewodnika wziąłem konie, a rzeczy upakowane były na mułach. Przewodnik uzbrojony, chcąc mię zabawić, powtarzał mi strofy z Tassa i innych poetów włoskich, oddalałem się bowiem z bólem serca z miasta, gdziem doznał tyle gościnności. Ten przymiot jest jednym z piérwszych obowiązków Korsykanina; bez namysłu może tu każdy podróżny zapukać do drzwi chaty i pewnie każdy włościanin podzieli z nim swój obiad. Wynagrodzenie piéniężne obraziłoby wieśniaka korsykańskiego, a następująca powieść dowodzi że Korsykanina gościnność zbliża się do zdarzeń romantycznych.

Rodziny Polo i Rocco, pałały od dawna przeciw sobie niezbłaganą nienawiścią. Jedna mieszkała we wsi *Tosa*, druga w *Orbellara*. Dla ważnych sprawunków zmuszony był razu jednego najstarszy członek rodziny Polo podjąć podróż w okolice *Orbellara*, a oddaliwszy się z domu niespodzianie, sądził, że nieprzyjaciele tego niespostrzegą. Już w drodze będąc dowiaduje się, że Rocco uczynić kazał ludziom swoim na niego zasadzkę. Dzień już był przy schyłku, wkrótce ogarnęła cały widokrąg zupełna ciemność, a nadto powstała okropna

burza, jedna z takich, jakie w południowéj Europie często się wydarzają. Polo nie wiedział, coby mu czynić wypadało i co chwila obawiał się, aby go nie zdradziły błyskawice. W takiém położeniu postanawia zakołatać do domu swego głównego nieprzyjaciela. „Idź— rzecze do służącéj, która mu drzwi otworzyła— i donieś swemu panu, że Polo życzy z nim mówić.” Służąca zadrżała, usłyszawszy nazwisko, którego same wspomnienie, całą rodzinę strachem przejmowało. Nakoniec przychodzi sam Rocco i zupełnie spokojny zapytuje silnym głosem, czego chce od niego Polo w tak późnéj godzinie. „Gościnności, odpowie Polo,— wiadomo mi, że ludzie twoi uczynili na mnie zasadzkę, aby mi życie odebrać. Wśród ciemności i burzy nie wiem jak śmierci uniknąć, jeśli mi schronienia odmówisz„—„Pozdrawiam cię— rzecze Rocco— i dziękuję ci, że mi oddajesz sprawiedliwość.” To powiedziawszy, bierze swego nieprzyjaciela za rękę, przedstawia go swoim, i wszyscy witają go oziębłe, ale grzecznie. Po wieczerzy zaprowadzają Polo do izby sypialnéj, a gospodarz żegna go temi słowy: „Spoczywaj spokojnie, zostajesz tu bowiem pod zasłoną honoru.„— Nazajutrz z rana po śniadaniu, obawiając się Rocco, aby się nic złego nie-

przyjacielowi jego nie wydarzyło, odprowadza go do strumienia, za którym go w zupełném bezpieczeństwie być sądzi i przy pożegnaniu mówi do niego: „Przyjąłem cię do mojego domu i uczyniłem moją powinność; w podobnych okolicznościach i ty również byłbyś mi życie ocalił: tu jest kres prawa gościnności; twój nieprzyjaciel musiał na czas niejaki odłożyć swoją nienawiść, wznawia się ona teraz gdy się rozłączamy; powtarzam więc, że pragnę zemsty. Unikaj jéj, jeśli możesz, podobnie jak ja będę się miał przeciw tobie na baczności. „Słuchaj— odpowie mu P o l o— pokonałeś moje serce; gniéw mój przygasł. Mścij się, jeśli chcesz, co do mnie, nie splamię się nigdy krwią tego, któremu winien jestem życie. Powiadasz, żem cię obraził; zapomnij urazę i bądź moim przyjacielem."— R o c c o namyślał się przez chwilę, potém rzucił się w objęcie swego nieprzyjaciela, a odtąd nietylko oni obadwa, ale nawet ich krewni żyli w największéj zgodzie.

Następujący wypadek może posłużyć za przykład, jak ostro karzą Korsykanie pogwałcenie gościnności: W Korsyce nienawidzą praw spisowych, jakoż młodzi spisowi uciekają często w góry, aby uniknąć służby w wojsku francuzkiém. Sciganie tych zbiegów jest żandarmerji trudnym i nie-

bezpiecznym obowiązkiem. Razu jednego przed spisem wojskowym, przychodzi młodzieniec do owczarza, z prośbą, aby go ukrył. „Nie odmawiam ci schronienia, odpowié owczarz— ale sądzę, że dom mojego syna będzie dla ciebie bezpieczniéjszy; idź do niego i powiedź mu, że ja cię posyłam.—" Syn przyjął spisowego, ale żandarmowie odkryli go wkrótce; stary owczarz dowiaduje się, że przekupiony syn zdradził i wydał spisowego, idzie do niego, przekonywa się o czynie z własnego wyznania i zabija go natychmiast.

La fontana nuova.— Oddział francuzkiego wojska.— Podróż do Bastia.— Bastia.— Gimnazjum.— Muzyka powitalna.— Kaplica Sta Croce:—Trybunał. Narady onego.— Jenerał Sebastiani.— Posiedzenie towarzystwa zwanego *société centrale d'instruction.*— Rysy charakterystyczne Korsykanów.

Z Corte wyjechałem już wieczorem; jechaliśmy po lewéj stronie rzeki *Gollo*, góry zaczynały być co raz mniéjsze, a dészcz lał strumieniami. Już późno przybyliśmy do *Fontona nuova*, miasteczka leżącego prawie na połowie drogi między *Corte* i *Bastia*. Budynek do któregośmy zajechali był podobny częścią do domu gościnnego, częścią do stanowiska poczty wojskowéj. Był to podługowaty czworokąt, pośrodku dziedzińca, otoczonego izdebkami. Zastałem tu oddział,

wypoczywający po trudach pochodu; żołnierze wyruszyć mieli o godzinie 2 zrana, z *Fontana nuova* do *Bastia*, i oświadczyli, że chcą mi towarzyszyć. Wszyscy jakkolwiek od deszczu przemokli i utrudzeni, nie stracili swojéj naturalnéj wesołości: jedni rozmawiali głośno, inni śpiewali, ci tańczyli, tamci robili rozmaite inne poruszenia. W krótce jednak odłączyłem się od tego wesołego towarzystwa, Korsykanin, który mi towarzyszył, rozniecił w izdebce ogień, przy którym zjedliśmy skromną wieczerzę.

Nazajutrz bardzo rano wyruszyliśmy w dalszą drogę. Dészcz nie przestawał padać ulewnie; Kapral i trzynastu żołnierzy cisnęli się do koła mojego konia, gdy tymczasem przewodnik z mułami przodem postępował. W krótce potém przebyliśmy przez piękny most rzekę *Golo* i odtąd mieliśmy ją w dalszéj podróży po prawéj stronie. Natrafialiśmy często na strumyki; na wszystkich znajdowały się mostki, a pod wielkiemi drzewami paliły się tu i owdzie ognie, otoczone owczarzami korsykańskimi, którzy albo sobie przygody opowiadali, albo łącznie śpiewali; zdarzało mi się często słyszeć ich śpiewy melancholiczne, ale nigdy niemogłem odgadnąć ich znaczenia.

O świcie zaczęły się chmury rozpraszać,

a żółtawy widokrąg od wschodu zapowiadał pogodę. Uspieni pod gołém niebem przy trzodach owczarze, budzili się właśnie ze snu i strząsali deszcz z grubych kurtek; nakoniec gdyśmy wjechali na urodzajną równinę która się od Bastia do wschodnich brzegów rozciąga, weszło słońce w całéj majestatyczności. Morze ustępuje tu stopniowo od brzegów, a *Aleria*, niegdyś rzymskie miasto portowe oddalone jest teraz od morza o pół mili angielskiéj. Szliśmy aż do domu, zwanego *Maison blanche*; jest to poczta wojskowa i zarazem dom gościnny, nietyle jednak obszerny, jak *Fontana nuova*. Przed nami rozciągał się piękny widok na Bastia i domy wiejskie, porozrzucane na wzgórzu za miastem, a morze toskańskie z wyspami *Capreja*, *Elba*, *Monte Christo* i oddalonemi brzegami krajów włoskich, zajmowało na przemiany moją uwagę. Po obudwóch stronach drogi pasły się trzody kóz na łąkach od ziół woniejących. Rolnictwo uczyniło tu znaczne postępy, a uprawa wielkich przestrzeni przekonywa, że społeczność korsykańska byt swój rozwija. W ogólności mieszkańcy Bastji, odznaczają się korzystnie od innych mieszkańców Korsyki. Tutejszy klimat był dla mnie wcale nowy: kaktus, aloesy i inne rośliny, znane w Anglji tylko w trajbhau-

żach, rosną tu pod gołém niebem, a upał był tak wielki, gdym się do miasta przybliżał, iż w płaszczu zaledwie wytrzymać mogłem.

Ze względu ludności, wielkości i społeczeńskiego towarzystwa, można uważać miasto *Bastia* za stolicę Korsyki, chociaż istotnie jest nią *Ajaccio*. Domy w *Bastia* są wysokie, a ulice bardzo ciasne. Port tamtejszy jest małéj wagi; z okrętów, jakie tam zawijają, mało który większy jest, jak o ciężarze 100 beczek; podobnie, jak u dawnych Rzymian wyciągają tu okręty na ląd w zimie. Zaledwie się ubrałem wszedł do mnie sekretarz dowódzcy miasta i spisał wszystkie formalności, tyczące się mojéj osoby; po nim przyszedł podprefekt P. Petriconi z kilku innemi mieszkańcami. Wieczorem wyszedłem na przechadzkę ku morzu; powierzchnia jego była spokojna, a zachodzący za wyspę Elbę xiężyc, oświecał szczyty wież starożytnych, które się wznosiły na brzegu tu i owdzie obok ogrodów oliwnych i pośród woniejących krzaków. Gdym do miasta wracał, rozlegał się z niektórych balkonów dźwięk gitary, przy głosie kobiecym, tak przyjemnym, iż chętnie byłbym chciał poznać samą śpiewaczkę.

Dnia 17 byłem na obiedzie u podprefekta. Mnóstwo gatunków win korsykańskich,

nad moje spodziewanie, znalazłem wybornemi. Niektóre podobnie, jak wino *Porto*, były ciérpkie, inne tłuste i słodkie podobne były do *Frontignan*, inne do *Chablis*, a jeden gatunek miał zupełny smak fabrykowanego w *Herefordshire gruszeczniku*. Dnia 18 taki był upał, iż nawet w kurtce lnianéj wytrzymać nie mógłem na paradzie, dokąd mię zwabiła muzyka wojskowa. Na obiedzie znajdowałem się u sędziego trybunału królewskiego, gdzie zastałem kilka znakomitych wyspy rodzin. Po obiedzie tańczono walca, a reszta wieczora upłynęła bardzo wesoło.

Dnia 19 oglądałem gimnazjum, zostające pod zwierzchnictwem szanownego kapłana jezuity Rennucci. Znajduje się przy niém bibljoteka nie liczna w prawdzie, ale wyborowa. Zbiór minerałów korsykańskich, nie był uporządkowany i zostawiał wiele do życzenia. Darowano mi z niego kawał ołowiu, pochodzącego z kopalni S. *Fiorenzo*. Korsykanie ważą sobie wiele srebro oddzielane z tego ołowiu; z beczki (waga) kruszcu zyskują sześć uncji i cztery łuty srebra, gdy tymczasem w Kumberlandji oddzielają z takiéj samej ilości 18 uncji. —Rozmawiałem z kilkoma uczniami i przekonałem się, że byli dosyć obznajomieni z językiem łacińskim, ale po grecku mało umieli.

Dnia 20 listopada przybyli do *Bastia* moi towarzysze podróży. Jechali oni inną drogą i wszędzie przyjmowano ich z wielkim szacunkiem. Grono muzykantów grało rozmaite sztuki, na nasze spotkanie, gdyśmy do miasta wracali. Za dobroć tę obraziliśmy ich mimowolnie; w mniemaniu bowiem, że chcą wynagrodzenia, posłaliśmy im pieniędzy, poczém jeden znich przyszedł do naszego pokoju jadalnego z zapewnieniem, że będąc amatorami nie mieli wcale zamiaru grać za piéniądze, chcieli nas tylko powitać. Nazajutrz przedstawiono mię P. Viale i innym uczonym w Bastia; w ciągu pobytn mego w tém mieście, często z nimi obcowałem.

Bastia ma kościół katedralny i kilka innych, ale nad kaplicę S. *Croce* trudno jest widzieć ozdobniéjszéj. Młody Korsykanin, uczeń teologji, opowiadał mi legendę o założeniu téj kaplicy: rybacy z *Bastia* wyciągnęli z morza Krzyż i schowali go troskliwie, ale nadprzyrodzona władza przeniosła go w to miéjsce, na którém teraz stoi kaplica.— Zwiedziłem następnie trybunał królewski; jeden z sędziów P. Olivetti, poznał mię w tłumie, i kazał woźnemu aby mię za kratki poprosił, gdzie mi usiąść pozwolono. Sądzono trzech więźniów, o skarżonych o kradzież bydła. Mowa prokuratora, w tém

się różniła od mów prokuratorów angielskich, iż zamiast trzymania się pojedynczych faktów rozszérzała się nad dawniéjszém życiem obwinionych. Świadkowie zeznawali po większéj części ze słyszenia; w Anglji nie byliby uważani za wiarogodnych. Od roku 1790 do 1801 nie wydawano na Korsyce wyroków bez sądów przysięgłych; od tego czasu nie znają Korsykanie téj instytucji." Wciągu trwania sądu przysięgłych— mówi P. Beaumont, w dziele swojém *Observations sur la Corse*— skazano na śmierć dwanaście osób, gdy tymczasem tylko w miesiącach czerwcu i lipcu 1820 r. jeden sąd kryminalny 65 osób na śmierć, 75 na roboty ciężkie i 57 na karę więzienia skazał.„ Baron Beaumont jest pomimo tego przeciwny zaprowadzeniu sądów przysięgłych na wyspie Korsyce, bo zemsta prywatna wdziérałaby się w wyroki sędziów, a sędzia sumienny, nie byłby nigdy pewien życia swojego.

Dnia 25 listopada, rozmawialiśmy długo z jenerałem Sebastiani, jednym z deputowanych Korsykańskich, z Panem Gentili i dwoma adwokatami przy trybunale Królewskim, w sprawie, która nas do Korsyki sprowadziła. Piérwszy mówił bardzo wymownie o zapisach Paolego, podróżował w Anglji i zdawał się być obznajomiony bardzo dokładnie z instytucjami kraju,

Dnia 30 odbywało się posiedzenie wielkiego towarzystwa uczonego, znanego pod nazwiskiem *La Société centrale d'instruction du département de la Corse.* Prezes, baron Galeazzini, zaprosił nas na to posiedzenie. Zastaliśmy napełnioną salę i najznakomitszych mieszkańców miasta *Bastia*, niemniéj władze cywilne i wojskowe. Czytano rozmaite rozprawy, kilka artykułów historycznych, tyczących się Korsyki i ułamek z tłumaczenia *oblężenia Koryntu* przez Byrona. Po każdém odczytaniu, grała muzyka czternastego pułku, przy drzwiach postawiona. Po skończoném posiedzeniu zagrano pieśń *Vive Henri IV*, a całe zgromadzenie rozeszło się z okrzykiem *Vive le roi!* W rocznikach towarzystwa, znajduje się wiele rysów, znamionujących charakter Korsykanów. Przytoczę z nich jeden tylko. Rodziny Vincenti z *Monte d'Olmo* i Grimaldi z *Ampugnani*, żyły w zadawnionéj nieprzyjaźni. Pewnego dnia w czasie uroczystości kościelnéj i pośród obrzędów religijnych, nie mogły rodziny te przytłumić w sobie wzajemnéj nienawiści. Z słów przyszło do czynow; zagrożony niebezpieczeństwem *Astolf* Vincenti strzela z fuzji i rani śmiertelnie najstarszego syna Rogera Grimaldi. Nieprzyjaciele *Astolfa* wpadają w wściekłość i postanawiają, aby

padł ofiarą ich zemsty. Dom pobliski, był w téj chwili dla *Astolfa* jedyném miéjscem schronienia, jakoż wpada do niego. *Był* to właśnie dom Grimaldych: cała rodzina była w Kościele; pozostał w nim tylko spiący syn Grimaldego, dziecko ośmioletnie. Przyjaciele Grimaldych rzucają się na dom, ale śmierć była pewnym każdego udziałem, któryby się odważył wnijść wewnątrz, bo Vincenti był uzbrojony, a o śmiałości jego w bronieniu się nie można było wątpić. Postanowiono dom podpalić; ale sobie przypomniano spiącego syna, a myśl ta przeważyła na chwilę już bliskie wywarcie zemsty. W tém cztérech ludzi przenosi koło tłumu ranionego *Rogera* Grimaldi na marach. Na taki widok syna nie może ojciec dłużéj pohamować swojéj wściekłości. Zaślepiony zemstą, głuchy na głos natury, na prośby małżonki, która go powściągnąć usiłuje, zapala dom własną ręką. Ogarniony płomieniami Vincenti, szuka zrazu własnego ocalenia, ale w tém słyszy krzyk dziecka, przybiega do niego i poznaje w niém syna swego nieprzebłaganego nieprzyjaciela. Już chwyta za sztylet, aby go nim przebić, ale dziecko wyciąga ku niemu ręce, widok ten wstrzymuje go na chwilę, obudza w nim litość, tak iż wzruszony bierze je na ręce i postanawia ocalić, lub z niém

umrzeć. Tymczasem płomienie coraz bardziéj się rozpościerają; dach już się zapada, przepalone belki spadają, wszyscy sądzą, że Vincenti już zginął. Zaspokojony tą myślą Grimaldi, idzie do domu swego krewnego, gdzie się znajdował syn raniony. Tu dopiéro oddycha, gdy tymczasem żona jego, pewna zgonu swego dziecka nieustannie łzy wyléwa. Nakoniec i twarde Grimaldego serce zaczyna się miękczyć i podzielać boleść małżonki, odzywają się wyrzuty sumienia i rozpacz go ogarnia. W téj chwili rozlega się odgłos nazwiska *Astolfa*. Z osmoloną twarzą, z śladami płomieni na sukniach i z dzieckiem na ręku, wychodzi Vincenti z gruzów domu Grimaldego, pośród radosnych okrzyków zgromadzonego tłumu. Matka wybiega naprzeciw *Astolfowi*, rzuca mu się na szyję i nazywa go wybawicielem swego dziecka. Widok ten rozbraja Grimaldego. Przezwycięża go uczucie podziwienia, wdzięczności i zawstydzenia, pada do nóg *Astolfa* i przysięga mu wieczną przyjaźń.— Pan Renuncci opisał to zdarzenie z własnego opowiadania *Astolfa*.

Załatwiwszy przedmiot naszego poselstwa, pożegnaliśmy dnia 1 Grudnia mieszkańców *Bastji*, którzy nas z tylu wzlgędami przyjmowali i na szebece *Wniebowstąpienie*, odpłynęliśmy do *Liworno*.

V.

ROZMAITOŚCI,

1. *Rozbicie Brygu Anna.*

Bryg ten z Pondichéry, opuścił w miesiącu Styczniu roku zeszłego wyspę *Nicobar*, z ładunkiem składającym się z orzechów kokosowych i innych płodów przeznaczonych dò *Bangoun*. Nazajutrz po wyjściu jego pod żagle wiatr się odwrócił; na drugi dzień po piątéj godzinie z rana, gwałtowny północny wicher uderzył na okręt z mocą pędzony; około czwartéj godziny z południa, dostrzeżono, że woda się cisnęła do niego; cała osada zajęła się pompowaniem; obcięto maszty, lecz wszystko było daremnie; stan okrętu wcale się niepolepszał. Nakoniec, widząc że woda ciągle coraz bardziéj spód napełniała, Kapitan Brown rozkazał spuścić na morze łódź nie wielką, do któréj przeniósł się ze wszystkimi ludźmi. Wkrótce potém zatonął okręt, a to nieszczęście nie dozwoliło nawet zabrać nieco żywności. Przez dwa dni usiłowano dostać się nazad do wyspy *Nicobar*, lecz na próżno; musiano więc przybić do *Andamanu*. Kiedy na brzegach téj wyspy rozbici żeglarze zatrudnieni byli zbiéraniem ostrzyg, ukazała się nagle gromada krajowców uzbrojonych łukami, którzy wypuściwszy na nich strzały, kilku majtków ciężko zranili. Nieszczęśliwi ci wrócili z pośpiechem do swego statku, odpłynęli na morze i błąkali się przez dni cztérdzieści po oceanie. Nakoniec wylądowali na brzegi *Baticaba* (wyspa Ceylan). W ciągu tego czasu, umarł Kapitan i cztérech ludzi z osady; w chwili przybicia do lądu, szósty już konał, a ledwie nogą ziemi dotknęli, dwóch in-

nych padło śmierci ofiarą. Pozostali przy życiu znajdowali się już od ośmiu dni na téj wyspie, kiedy rybacy, przybyli do jéj brzegów dla połowu, odkryli ich i zaprowadzili natychmiast do najznakomitszego z mieszkańców wyspy. Pytano się, jak mogli tak długo wytrzymać bez jedzenia, na co odpowiedzieli, iż nie mieli wcale żywności na statku, a za napój służyło im codziennie tylko kilka kropel wody morskiéj. Petro Anthony, jeden z pomiędzy nich, przydał, że byli gotowi żywić się mięsem zmarłych towarzyszów, lecz nie mogli się odważyć na jedzenie go surowo. Wszystkie sprzęty znalezione na statku składały się z długiego noża, zégarka, bussoli, i z dwóch rupji w srébrze.

---

2. *Wiadomość o Kapitanie Clapperton.*

Odebrano niedawno w Anglji najnowsze wiadomości o tym nieustraszonym wędrowniku, który w liście pisanym na dniu 22 Lutego 1826 z *Eyo*, stolicy mało dotąd znanego kraju *Youriba*, opisuje szczegóły smutnego skonu nowéj ofiary morderczego klimatu tych okolic jakie przebiega. Przyjaciel jego i towarzysz wyprawy, doktor Pearce umarł tam na jego rękach; zdaje się iż Kapitan Clapperton musiał się już oswoić z klimatem, albo musiał w téj chwili zupełnego używać zdrowia. — Chwali on bardzo sposób w jakim go przyjęli mieszkańcy, a w ogólności przyjacielskie postępowanie którego doznawał w całym ciągu swojéj ostatniéy podróży. Oznajmia zarazem, iż wkrótce spodziéwa się dójść do *Youri*, gdzie zginął Mungo-Park, i gdzie ma nadzieję pozbiérać wszelkie papiéry pozostałe po swoim nieszczęśliwym poprzedniku, jeśli ich do-

tąd jeszcze nie zgromadził i nie posłał do Anglji Sułtan Bello, który Kapitanowi Clapperton przyrzekł to uczynić w czasie ostatniego pobytu jego w *Sackatou*. Przydaje w końcu, iż znajduje się teraz w zupełnie nowym kraju, gdzie dotąd żaden biały nie dotarł; że przebył łańcuch niezmiernych gór, o których istnieniu nawet nie wiedziano dotąd, i że poznał jedno z najrozleglejszych Królestw Afryki, którego nazwisko nawet obce było Europejczykom. Między innemi donosi ten podróżny, iż rzeka *Niger* wpada do odnogi Gwinejskiéj.

---

3. *Ogród jeograficzny.*

P. Ira Hill z Baltimory przedstawił Kongressowi Zjednoczonych krajów prośbę, w któréj żąda aby mu wyznaczono 10 akrów ziemi, i summę 10,000 dollarów, na założenie w mieście Washington ogrodu jeograficznego.

Jeśli Panu Hill uda się to przedsięwzięcie, zasieje on istotnie kwiatami ścieszki umiejętności. Oto jest, podług przedstawienia jego plan jaki sobie wykréślił:

Wszystkie części znanego świata będą dokładnie odznaczone i wykształtowane na ziemi. Łoża oceanów, morza, odnogi, przystanie, jeziora i rzeki będą kopane, lądy zaś stałe, półwyspy, między-morza, góry, wyspy, przylądki i t. p. wzniesione będą w stosunku wklęsłości lub wypukłości swojéj na sferze ziemskiéj.

Łoża oceanów wysypane będą żwirem, lądy ozdobione murawą, a góry złożone z tychże samych pokładów skał i kamieni z jakich w stanie naturalnym są utworzone.

Ponieważ ogród ten zajmować ma dziesięć akrów, kula ziemska więc którą będzie wyobrażał podzielona zostanie w takim stosunku, iż jezioro *Ontario* zajmie przestrzeń przeszło ośmiu stóp długości, a kraje Zjednoczone, od Atlantyku aż do morza spokojnego, okryją przestwór 160 stóp kwadratowych zajmujący. Każdy kraj, państwo i prowincja będą ściśle odgraniczone, a położenie wszystkich miast znakomitszych, wskazane w sposób dokładne dający wyobrażenie. Równoleżniki szerokości i południki starannie być mają oznaczone, równie jak południk, ekliptyk, zwrotniki i inne koła.

To odznaczenie topograficzne ziemi przedstawić może młodzieży łatwy i szybki sposób nabycia wiadomości przez rozrywkę, i osiągnienia jaśniéjszych i dokładniéjszych wyobrażeń, aniżeli te jakie przedstawiają karty ziemskie, i wykłady nauczycieli. Co za korzyść, zdołać w kilku godzinach przechadzki przebiedz kulę całą, mierzyć okiem proporcjonalne rozległości, wzniesienie ziemi od którego zależy w części temperatura klimatów, powziąść wyobrażenie rozmaitych płodów, ocenić położenia przyzwoite do prowadzenia dróg, rznięcia kanałów, zakładania miast i t. p.

NOWE DZIEŁA.

Zapowiedziane zostało w Paryżu prospektem obszerne i kosztowne dzieło, pod tytułem: *Voyage pittoresque en Espagne, en Portugal et sur la cote d'Afrique, de Tanger à Tetouan*, par J. Taylor; ozdobione ma być 110 rycinami, których wykonaniem zajmują się najznakomitsi arty-

ści Londyńscy. Składać się będzie z 22 poszytów z dołączeniem do każdego 5 rycin. Prenumerata za oświadczeniem *decursive* płacić się mająca wynosi na całe dzieło na papierze Kolumbijskim: 264 fr:

Wychodzi z druku w Paryżu nowe dzieło: *Géografie des plantes.*— Tom jeden in fol: z rycinami składać się ma z 4 poszytów z których pierwszy wyszedł w Grudniu r. z. — Jest to owoc podróży P. P. Humboldt, Bonpland Rugendas, z których ostatni wykonywać ma ryciny z natury zdejmowane.

Mes souvenirs de l'Egypte, par Mde la Bne de Minutoli, revus et publiés par M. Raoul-Rochette. — Jest to pierwsze dzieło o Egipcie wydane w formacie in 18°, dotąd bowiem wszystkie opisy kraju tego wychodziły w wielkich i kosztownych formatach. — Obszerniéjszą wiadomość oraz wyjątki z tego nader zajmującego dzieła umieszczone będą w następującym numerze Dziennika Podróży.

Hortus Pawłowskiensis etc. (Ogród Pawłowski) przez P. Weinmann. W Petersburgu Tom jeden, in 8° 1826.
